BIBLIOTEKA AGH
C. 4

wektor
DWUTYGODNIK A·G·H KRAKÓW

Rok IV. Nr. 9 (52) **Kraków, 1. VII.—1. X. 1957 r.** Cena 1 zł.

NUMER WAKACYJNY

BOGDAN LOEBL

Letni wieczór

Czasem, pod wieczór, gdy wejdę do sadu,
by wargi podać dojrzałym czereśniom
wiatr się ostrożnie, jak kot, w liście [wkrada
i sad rozpieśnia.

A w szumie liści jest tyle tęsknoty
jakby sto smyczków dotknęło stu skrzypiec
i czuję jak wiatr za rękę mnie ciągnie
na drogi po których księżyc srebrem sypie.

Więc chodzę... chodzę, a drogi i ścieżki
najczęściej biegną popod oknem Twoim,
a wiatr-muzykant piosenki szeleszcząc
coraz to nowe instrumenty stroi.

Prof. dr WALERY GOETEL

Rozwój i zadania AGH

Jak to uzasadniłem w pierwszej części tego artykułu, rozwój Akademii Górniczo-Hutniczej w kierunku utworzenia na uczelni 8-miu wydziałów, był procesem stopniowym, opartym na wymaganiach życia i równoległym do rozwoju tych gałęzi przemysłu i techniki, w których zakresie pracuje nasza uczelnia. Ewolucja uczelni była też wyrazem jednomyślnej opinii całego grona naukowego i nauczającego. Z czasów długotrwałego mego rektoratu nie pamiętam, aby odezwał się choć jeden głos sprzeciwiający się takiemu rozwojowi uczelni, a to samo mogłem stwierdzić, biorąc udział w pracach Akademii w czasach rektoratu mojego następcy, Profesora Z. Kowalczyka, który konsekwentnie i z wielką energią rozbudowywał uczelnię w kierunku nadania jej tego„ profilu", jaki ma dzisiaj.

W profilu tym osiem wydziałów AGH pracuje nad zagadnieniami, związanymi z surowcami mineralnymi, które posiadamy w Polsce w wielkiej różnorodności, a o ile chodzi o niektóre z nich, też w wielkich zasobach i o wysokiej jakości. Zagadnienia te, to poszukiwanie surowców mineralnych (Wydział Geologiczny), ich eksploatacja (Wydziały Górniczy i Geodezyjny) i przeróbka (Wydziały Metalurgiczny, Odlewniczy i Ceramiczny). Pierwsze trzy wydziały składają się na pion górniczy, drugie trzy na hutniczy — przy czym istnieją powiązania między nimi w ramach poszczególnych wydziałów (np. Wydział Ceramiczny). Obu zaś pionom w ich rozwoju, związanym z postępem technicznym, służą Wydziały Mechanizacji i Elektryfikacji. Oczywiście z katedrami wiodącymi muszą w takim układzie współdziałać katedry podstawowe i pomocnicze. Zagadnienie współpracy wszystkich zakładów naukowych AGH, bardzo istotne i doniosłe, wymaga osobnego omówienia, co odłożymy do numerów „Wektora" po przerwie ferii letnich.

Omówiwszy rozwój struktury Akademii Górniczo-Hutniczej jako uczelni 8-wydziałowej i 3-stopniowej, zastanówmy się nad niektórymi aktualnymi zagadnieniami, dyskutowanymi ostatnio na uczelni.

Wśród takich spraw, dotyczących problemów rozwojowych Akademii, pilnym stało się w ostatnich czasach zagadnienie ilości studentów, którzy winni być przyjmowani na pierwszy rok studiów, a z tym ilość słuchaczy na poszczególnych wydziałach AGH.

Rozwój Akademii pouczył nas, jak o tym wspomniałem, że w zagadnieniach rekrutacji studentów niepodobna iść za fluktuacjami koniunktur przemysłowych, — trzeba rozważyć sprawę perspektywicznie. A w tych sprawach decydujący głos winni mieć pracownicy uczelni, opierający się na wieloletnim doświadczeniu naukowym, dydaktycznym i współpracy z przemysłem.

Jeżeli tak uczynimy, nie ulega wątpliwości, że trzeba już od najbliższego roku rozpocząć redukcję ilości przyjmowanych kandydatów na studia. Nieprzemyślane, a narzucane uczelni z góry decyzje co do ilości przyjmowanych studentów, muszą ustać. Zmniejszenie wielkości rekrutacji wywołuje na niektórych wydziałach obawy co do uzasadnienia dalszego trwania ich samodzielności. Tymczasem trzeba sobie powiedzieć, że dotychczasowo ilość przyjmowanych studentów była NADMIERNA z punktu widzenia racjonalności przebiegu studiów. Przy 300, 200 a nawet 100 studentach na jednym roku niepodobna prowadzić nauczania, które zapewniłoby należyty poziom wykształcenia absolwentów. Jest to niemożliwe nawet przy wprowadzonym nareszcie 5-letnim okresie studiów, a cóż się działo przy 3-letnim okresie skróconych studiów, który głoszono jako konieczność, a który okazał się absurdem! Dopiero liczba 50, a nawet 40 i mniejszej jeszcze ilości studentów na jednym roku poszczególnego Wydziału, jak to jest na wielu uczelniach zagranicznych, pozwoli na podniesienie poziomu wykształcenia absolwentów AGH, co wyłania się jako konieczność dla wyprowadzenia naszej techniki i przemysłu z trudnej sytuacji. Przecież trzeba pamiętać, że ta trudna sytuacja została częściowo spowodowana między innymi przez zbyt niski poziom absolwentów uczelni technicznych, kształconych masowo. Najwyższy czas postawić nie ilość absolwentów, opuszczających uczelnię techniczną, jako sprawdzian jej potrzeby i użyteczności, ale, obok wyników pracy naukowej uczelni, sprawdzianem tym winna być jakość tych absolwentów.

Przy tym trzeba pamiętać, że na każdej uczelni są i będą zawsze jedne wydziały z większą ilością studentów, a inne z mniejszą.

W Akademii Górniczo-Hutniczej z natury rzeczy najliczniejszymi są i będą Wydziały Górniczy i Metalurgiczny, jako wydziały podstawowe uczelni. W szczególności Wydział Górniczy winien w najbliższych latach dostarczyć górnictwu, przed którym stoi zadanie budowy licznych nowych kopalń, wielu inżynierów, musi więc przyjmować znaczną ilość studentów.

Osobnym zagadnieniem jest sprawa pracy dla absolwentów naszej uczelni. Zagadnienie to, bardzo istotne, co do którego krążyły pesymistyczne, a moim zdaniem, tylko do pewnego stopnia uzasadnione poglądy, wymaga osobnego omówienia.

W rozmaitych zarządzeniach naszych władz, na szczęście przeważnie już do przeszłości należących, stale występowała nuta o nakładaniu na uczelnię przede wszystkim obowiązków dydaktycznych. Jakkolwiek w teorii ciągle się podkreślało obowiązek intensywnej pracy naukowej na uczelniach wyższych — to w praktyce zarządzenia czynników miarodajnych tak obciążały uczelnie obowiązkami dydaktycznymi, że możliwość pracy naukowej stopniowo malała. Odnosiło się to szczególnie do pomocniczych sił naukowych. Mimo ostatniej podwyżki niewystarczająco wynagradzani, a obciążeni nadmiernymi obowiązkami dydaktycznymi, jakżeż mają wydatnie pracować ci nasi młodsi koledzy, którzy są wszak naszą nadzieją w rozwoju nauki polskiej?

Dlatego jeszcze raz powtarzam: czas skończyć z szacowaniem racjonalności pracy uczelni wyższych według ich wydajności dydaktycznej. Czas kończyć z przydziałem pomocniczych sił naukowych do poszczególnych zakładów według ilości studentogodzin, ćwiczeń itd. A wewnątrz naszej uczelni czas kończyć z oceną wartości i przydatności poszczególnych wydziałów tylko według ilości studentów i zajęć dydaktycznych.

Najwyższy czas, aby zadania naukowe wysunąć naprawdę, a nie tylko w sloganach na czołowe miejsce zadań AGH, jedynej polskiej uczelni pracującej dla zagadnień poszukiwania surowców mineralnych, ich eksploatacji i przeróbki, — problemów o podstawowym znaczeniu dla gospodarki narodowej.

Do zadań technicznych, którym w najbliższych latach będzie się musiało w naszej uczelni poświęcić szczególną uwagę, należy zagadnienie wierceń poszukiwawczych i eksploatacyjnych. Dla górnictwa węglowego, naftowego, rudnego, skalnego oraz dla rozwiązywania coraz to bardziej palących problemów wody, niezbędnym jest wykonanie w ciągu szeregu lat mnóstwa wierceń. Dotychczasowy sposób wykonywania wierceń, ich nadzór techniczny oraz opracowywanie wyników są absolutnie niewystarczające. A nasza uczelnia posiadająca wydziały: geologiczny, górniczy i mechanizacji jest w pierwszej linii powołana do podołania temu ogromnemu zadaniu.

W ciągu ostatnich lat jesteśmy świadkami szczęśliwego przełomu, jaki dokonał się w rozwoju AGH. Oto wobec

(dok. na str. 2)

ANDRZEJ DUNIKOWSKI i TADEUSZ RYNCARZ

O pomocniczych pracownikach „nauki"

O pomocniczych pracownikach nauki powiedziano już sporo. Nawet w poprzednim okresie, okresie, który my dzisiaj w Polsce bardzo taktownie i nie bez poczucia humoru nazywamy „okresem błędów i wypaczeń". Dość często mówiło się i pisało na ten temat. Tylko że te głosy — to były głosy tego... okresu. Z jednej strony rytualna, uświęcona informacja „góry", z drugiej strzępy wiadomości skneblowanych cenzurą.

Dzisiaj, kiedy tego knebla już nie ma, kiedy inicjatywa poprawy leży „w dole", sądzimy, że niezabieranie głosu przez pracowników nauki odnośnie ich możliwości i warunków pracy naukowej, byłoby uchylaniem się przez nich od odpowiedzialności za rozwój nauki w tak ważnym dla niej okresie, w jakim niewątpliwie obecnie się znajduje. W artykule niniejszym będziemy się starali zachować pełny obiektywizm, jakkolwiek przyznajemy, że w niektórych miejscach zachowanie „zimnej krwi" przyjdzie nam z trudnością.

Nasze obserwacje i wnioski oparte są na doświadczeniach z terenu Akademii Górniczo-Hutniczej, a więc z uczelni technicznej.

Wydaje nam się jednak, że szereg spraw poruszonych przez nas, z uwagi na podobny „klimat" powszedniego dnia pracy asystenta w innych nietechnicznych uczelniach, jest nam wszystkim wspólny.

Nie chcemy grzebać w niedawnej przeszłości, nie jest to zajęcie przyjemne, ale niestety, jeśli „polski eksperyment" ma się udać, to konieczna jest znajomość stanu faktycznego na każdym odcinku. Chodzi tutaj nie tylko o profilaktykę, ale i o terapię, a w tym celu trzeba znać przyczyny schorzenia.

NIECO HISTORII

W okresie minionego dwunastolecia szkolnictwo wyższe w Polsce odbyło karkołomną drogę, by wreszcie w roku 1956 zająć pewne już ugruntowane pozycje, które, nawet przy najlepszych chęciach, trudno było uważać za sprzyjające dalszemu rozwojowi młodej kadry naukowej.

W latach 1945—49 zostaje zatrudnionych w naszej Uczelni szereg bardzo wartościowych pracowników. Są wśród nich absolwenci i inżynierowie przedwojenni, są także i młodzi — ci, którzy rozpoczęli studia po wyzwoleniu. Warunki pracy nie są łatwe, jest szereg braków, jest bieda, niedostatek, ale jest w tym czasie i twórcza pasja naukowa, jest pionierska żarliwość odbudowy, która „bierze" przeszkody.

Pracownikom nauki wydaje się, że ich poważne doraźne wyrzeczenia są celowe, że wynikają z obiektywnych praw konieczność okresu przejściowego, że ten okres kiedyś się skończy i da podstawę do rozwoju pełni sił twórczych.

Ówczesny dzień powszedni pracownika naukowego różni się zasadniczo od dnia powszedniego z lat 1950—55. Jest przede wszystkim czas na prace naukowe, jest jeszcze mało formularzy, mało odpraw, mało zebrań, stosunkowo mało rozkazów. Szereg pracowników wykonuje prace doktorskie, habilituje się, powiększa zdziesiątkowaną okresem wojny kadrę samodzielnych pracowników naukowych.

Ale nadchodzą lata „ustawiania i profilowania. Zaczyna się tworzyć pasożyt biurokracji, który mackami polipa dosięga szybko pomocn. pracownika nauki i odbędzie długą z nim drogę. Pomocniczy pracownik nauki przestaje być sobą, przestaje pełnić funkcje, co do których jest predestynowany, zaczyna być pomocniczym pracownikiem— wszechwładnej administracji.

Zajmuje się zakupami, inwentarzem, dyscypliną studiów, wynajmem gmachów na uroczystości państwowe, podziałem godzin itd. itp. Między powyższymi „zajęciami" uczęszcza coraz częściej na zebrania, odprawy opiekunów, komisje „usprawnień" studiów, komisje dyscyplinarne, szkoleniowe, zozowe, partyjne itd. itp.

Pomocniczy pracownik nauki zaczyna być w tym czasie coraz marniej opłacany. Do-

(c. d. na str. 2)

O pomocniczych pracownikach „nauki"

(c. d. ze str. 1)
chodzi do takich paradoksów, że adiunkt udzielający konsultacji w pracy dyplomowej absolwentowi zatrudnionemu w kopalni, dowiaduje się, że jego wynagrodzenie jest czterokrotnie niższe od wynagrodzenia tegoż absolwenta i wynosi tyle, ile figuranta, noszącego tyczkę przy pomiarach geodezyjnych.

W tych warunkach pomocniczy pracownik nauki idzie na sprzedaż, zaczyna sprzedawać resztki swojego wolnego czasu. Bierze co popadnie. Pracuje w liceach i biurach konstrukcyjnych, wykłada na kursach wieczorowych i nocnych, naocznych i zaocznych, bierze 1/4 etatu, albo 1/2 etatu, albo i cały drugi etat. Tylko do tego ostatniego nikomu się nie przyznaje, bo tego mu robić nie wolno.

„Jak chcesz pracować na uczelni, musisz mieć z czego żyć" — takie powiedzonko krąży między asystentami.

Pomocniczy pracownik nauki jest już kilka lat po dyplomie, chce założyć rodzinę. Myśli o mieszkaniu i zaczyna się starać o to mieszkanie... Pomocniczy pracownik nauki zaczyna zapominać o nauce.

Wśród asystentów następuje selekcja naturalna i „nienaturalna". Jedni odchodzą z uczelni z wyżej przytoczonych życiowych względów, inni natomiast są... wyprowadzani. „Obiektywne" prawo o zaostrzającej się walce klasowej działa. Asystent musi być pewny. To jest najważniejsze.

Coraz trudniej jest o wartościowego asystenta. Konkursy na odpowiednie stanowiska wiszą w gablotkach miesiącami, a jak wreszcie znajdzie się reflektant wyszukany przez Katedrę, to niestety, często nie spełnia on tego warunku pewności.

Sam walor stanowiska st. asystenta i adiunkta powoli się dewaluuje. Kryteria oceny dorobku i na tej podstawie nominacji, w małym stopniu uwzględniały walor naukowy i dydaktyczny. Wątpimy bardzo, czy znalazł by się ktoś z ówczesnych pomocniczych pracowników nauki, któryby sobie na przykład (otrzymawszy od Wydziału Przemysłowego MRN licencję na prywatne biuro projektów) wywiesił tabliczkę, na której byłoby napisane:

Mgr inż. X. Y.
b. st. asystent AGH Zakł. Z.

A przecież np. lekarze szczycą się tymi tytułami!

W latach 1950—56 obowiązki asystenta rosną coraz bardziej i to rosną tym bardziej, że z czasem krystalizuje się na każdym Wydziale grupka asystentów, o których Dziekani mówią, że nie można im przydzielać żadnej funkcji, bo się do tego nie nadają. A reszta asystentów pracuje i za siebie i za nich.

„Góra" próbuje „ratować sprawę", jednakże topi się już od dawna w swoich papierach, w swoich zarządzeniach. Krzywa centralizmu osiągnęła swoje *maximum*.

Ministerstwo wprowadza indywidualne plany rozwojowe młodej kadry; 3-letnie i 5-letnie (leżą jeszcze w szafach zakładowych), uruchamia aspiranturę (są jeszcze na uczelni), wprowadza błogosławiony tryb uzyskiwania stopni naukowych (jeszcze obowiązujący).

Wszystkie te zarządzenia są tylko... zarządzeniami.

Praktyka życia „nokautuje" je po kolei z nieubłaganą konsekwencją.

REALIA DNIA DZISIEJSZEGO

„Kiedy góra nie może rządzić starymi metodami, a doły nie mogą żyć po dawnemu, dochodzi do konfliktu" (Lenin).

Do konfliktu tego doszło w dniach polskiego Października. Na VIII Plenum PZPR starły się przeciwstawne sobie poglądy. Zwyciężył pogląd odzwierciedlający rzeczywiste interesy Narodu Polskiego. Październik zapoczątkował proces odnowy. Stworzył realne przesłanki dla tej odnowy również i w dziedzinie szkolnictwa wyższego i nauki.

Ludzie nauki w coraz większym stopniu zaczęli decydować o rozwoju nauki w Polsce. Senaty i rady wydziałowe mają coraz większy głos w sprawach swoich uczelni.

Proces odnowy naszej gospodarki jest jednak powolny, długotrwały, napotyka na opozycję i trudności z jednej strony — ze strony ludzi, związanych swoimi interesami, z zachowaniem stanu poprzedniego, z drugiej strony — na opory nawyków poprzedniego okresu, jakie tkwią w każdym z nas.

Za podstawę dalszych rozważań przyjmujemy zasadę: głównym zadaniem pomocniczego pracownika nauki na wyższej uczelni technicznej jest, obok zajęć dydaktycznych ze studentami, prowadzenie prac naukowo-badawczych, związanych z problemami występującymi w przemyśle.

Istotnymi przyczynami uniemożliwiającymi pomocniczemu pracownikowi nauki wypełnienie postawionych wyżej wymogów są: katastrofalny stan wyposażenia laboratoryjnego, niezadawalający poziom płac; trudności mieszkaniowe, niedostateczna współpraca z przemysłem, wreszcie brak czasu na pracę naukową, wynikający z przeciążeń administracyjnych.

Poprawa na odcinku wyposażenia naszych laboratoriów i warunków bytowych (płace, mieszkania), wiąże się bezpośrednio z naprawą całej naszej gospodarki. Jest to sprawa bardzo złożona i trudna do szybkiego zrealizowania. Do zagadnienia współpracy z przemysłem pozwolimy sobie powrócić w jednym z następnych artykułów. Natomiast w tym miejscu chcemy poczynić pewne uwagi odnośnie do obciążeń asystenta zajęciami nie mającymi bezpośredniego związku ani z nauką, ani z dydaktyką, a zabierającymi mu poważną ilość czasu.

Na naukę pozostaje w tych warunkach mało czasu, a „uprawianie" jej w ilości 2—3 godzin dziennie nie pozwala przy obecnym tempie postępu wiedzy technicznej nawet na bierne śledzenie jej rozwoju.

Pozwolimy sobie teraz zestawić w/w. obciążenia szczegółowo:

1. Prowadzenie korespondencji — ewidencji pism wysyłanych i wpływających. Biorąc tu pod uwagę plany naukowe, finansowe, dydaktyczne, sprawozdania z ich wykonania, wykazy studentów, zamówienia, tematy prac dyplomowych i wiele innych — ilość tej korespondencji jest bardzo duża.

2. Prowadzenie gospodarki materiałowej w zakres której wchodzą:

a) zakup materiałów piśmiennych i materiałów nieodzownych do prowadzenia zajęć dydaktycznych i prac naukowych. Materiały te kupowane są w drobnych ilościach, ale w dużym asortymencie. Zakup ich związany jest z dużą ilością formalności i trudnościami w samym ich nabyciu;

b) prowadzenie ilościowo-wartościowej kartoteki materiałowej

c) sporządzanie kwartalnych sprawozdań z zakupu, zużycia i uzgodnienie aktualnych stanów z Kwesturą,

3. Zakup inwentarza z podobnymi formalnościami jak wyżej i koniecznością niejednokrotnych wyjazdów do innych miast.

4. Prowadzenie książki inwentarzowej i ewidencji wydawanych do prac naukowych i dydaktycznych przyrządów i aparatów. W katedrach posiadających laboratoria, ilość pozycji inwentarza sięga kilkuset, a nawet powyżej tysiąca.

5. Zakup książek i prenumerata czasopism krajowych i zagranicznych (zamówienia, rachunki, przelewy).

6. Prowadzenie ewidencji wypożyczanych książek i czasopism, załatwianie oprawy roczników czasopism.

7. Prowadzenie archiwum prac dyplomowych.

8. Coroczne sporządzanie spisów inwentarza i materiałów.

*

Oprócz powyższych prac pomocniczy pracownik nauki wykonuje cały szereg czynności organizacyjno-administracyjnych związanych z prowadzeniem prac dydaktycznych.

Dokonuje on więc spisów grup studenckich, robi wykazy kollokwiów i egzaminów, wykazy praktyk studenckich, zawieranie umów o praktykę oraz często układa semestralny rozkład ćwiczeń i wykładów dla poszczególnych lat i sekcji.

Formalnie ilość czasu pracy asystenta przeznaczona na załatwianie spraw administracyjnych wynosi 6 godzin tygodniowo.

W praktyce asystent poświęca im przeciętnie ok. 3 godzin dziennie.

CZY SĄ MOŻLIWOŚCI NAPRAWY?

W dotychczasowych naszych uwagach skoncentrowaliśmy się celowo na jednej, naszym zdaniem, bardzo istotnej bolączce, a mianowicie na przeciążeniu asystenta czynnościami administracyjnymi.

Uważamy, że sprawa ta może być rozwiązana w ramach wewnętrznych Uczelni. Szereg katedr już ją rozwiązało przy pomocy „środków specjalnych", ale wydaje nam się, że to są tylko „półśrodki", że problem powinien być potraktowany generalnie. Jak dotychczas, to nie widzimy, aby w tym kierunku podejmowano jakieś działania zaradcze. Nawet projekt nowej ustawy, stawiając słusznie wysokie wymagania naukowe w stosunku do pracowników nauki, nie porusza problemu prac administracyjnych w katedrach technicznych.

Dyskusja nad tym zagadnieniem oraz prace w tym kierunku byłyby bardzo pożyteczne i celowe.

Czy rozwiązanie tej sprawy będzie proste? Na pewno nie. Sprawa ta wymaga dużo obiektywizmu i dużo dobrej woli. Czy trzeba pracować w tym kierunku? Uważamy że tak — koniecznie! Jest to stratą osobistą i społeczną, jeśli asystent, zamiast rozwiązywać problemy naukowe, chodzi na zakupy, liczy ilość zużytych ołówków itd. Najwłaściwszym rozwiązaniem byłoby tutaj ograniczenie do minimum formalności administracyjnych, wiąże się to znowu z naprawą całej naszej gospodarki, jej odbiurokratyzowaniem.

Ale nawet i wtedy będzie istniał cały szereg obowiązków administracyjnych, których nie da się wyeliminować.

Można jednak je zreformować. Naszym zdaniem istnieją takie możliwości, mianowicie:

1. Każda katedra zawodowa posiadająca laboratoria, prowadząca prace naukowo-badawcze, teoretyczne i eksperymentalne, kierująca pracami dyplomowymi, powinna posiadać jednego pracownika dla spraw administracyjnych (przy dużej katedrze nawet dwóch);

Biorąc pod uwagę trudną sytuację gospodarczą Państwa, istnieje możliwość doraźnego zrealizowania wysuwanego postulatu bez dodatkowego obciążenia budżetu, a to przez zwiększenie obciążenia każdego asystenta o jedną lub dwie godziny ćwiczeń tygodniowo, przez co wygospodarowany zostanie jeden etat asystenta administracyjnego odpowiednio na 8 lub 4 asystentów.

2. Kierownicy katedr oraz dziekani wydziałów nie będą tolerować nierównomiernego rozdziału czynności związanych z pracami administracyjnymi w katedrze lub na wydziale.

W związku z powyższym jeszcze raz podkreślamy, że w uczelniach należy stworzyć przynajmniej takie warunki pracy, jakie posiadają pracownicy instytutów naukowo-badawczych, a zatem należy zwolnić asystentów od wszelkich zajęć administracyjnych i innych, które mogą wykonywać pracownicy niżej kwalifikowani.

W wypadku pomyślnej realizacji wysuwanego postulatu, władze uczelni i kierownicy katedr będą mogli w większym stopniu niż obecnie wymagać od pomocniczych pracowników nauki stałych postępów i efektów pracy naukowej. Uniknie się wtedy wysuwanych przez pracowników argumentów o braku czasu na pracę naukową.

Kierownicy katedr i dziekani zgodnie ze swoim sumieniem i stanem faktycznym będą mieli wtedy dane do należytej oceny pracownika, po jego początkowym dwuletnim stażu w uczelni, nie wg jego przydatności w „urzędowaniu" ale według jego pracy i walorów dydaktycznych, i naukowych, dla których mianowano go asystentem.

ANDRZEJ DUNIKOWSKI
TADEUSZ RYNCARZ

Rozwój i zadania AGH

(dok. ze str. 1)
faktu, że Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego nie było w stanie (o co nikt nie może mieć do niego pretensji) podołać nakładom na rozbudowę AGH konieczną dla spełnienia wielkich zadań uczelni, zdecydowały się udzielić tej pomocy Ministerstwa, w których orbicie pracuje Akademia: Górnictwa, Hutnictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych. Dzięki tej pomocy może uczelnia nasza prowadzić dalej wielkie dzieło rozbudowy gmachów i laboratoriów, opracowane i ustalone na podstawie 8-wydziałowego profilu AGH. Należy tylko pamiętać, jak nas doświadczenie uczy, że do dalszej realizacji tej rozbudowy nie wystarczą tylko środki. Na każdym wydziale, dla którego dany budynek się wznosi, w każdym zakładzie, który w tych budynkach ma się mieścić, muszą się znaleźć ludzie, pełni poświęcenia, zapału i znajomości zagadnienia, aby być motorami budowy. Bez tego budowy nie będą się posuwały naprzód w należytym tempie.

Jak już zaznaczyłem, przed Wydziałem Górniczym otwarło się ostatnio ogromne zadanie pracy koncepcyjnej oraz dydaktycznej, związanej z budową licznych nowych kopalń, celem podniesienia produkcji surowców mineralnych, a w szczególności węgla. Trzeba to zagadnienie uznać za jedno z czołowych zagadnień całej Akademii i udzielić Wydziałowi Górniczemu najsilniejszego i najserdeczniejszego poparcia ze strony wszystkich pracowników AGH, nie cofając się nawet przed ofiarami na rzecz Wydziału Górniczego ze strony innych wydziałów. Ale sądzę, że pracownicy Wydziału Górniczego nie zgniewają się na mnie, jeśli zauważę, że na tym wydziale za mało jest własnej inicjatywy i poświęcenia dla tego kapitalnego zagadnienia. Bez tego zaś sprawa nie pójdzie tak, jak tego wymaga wielkość zadania, dobro macierzystego Wydziału AGH oraz dobro całej gospodarki narodowej.

Pragnę dalej podkreślić, że dla osiągnięcia naszych wielkich zadań konieczną jest praca wytężona, skupiona i odbywająca się w ustalonych warunkach. Dość już ciągłych reorganizacji, które stały się takim utrapieniem naszego współczesnego życia. Myślę, że lepiej jest popracować przez lat kilka w warunkach ustabilizowanych, choćby nie były one doskonałe, niż dokonywać ciągłych zmian, które wywołują dezorganizację i chaos, a do tego są niepewne w swych wynikach.

Na jednym z posiedzeń Senatu słusznie podkreślono, że dokonywanie zasadniczych zmian w strukturze naszej uczelni nie wiadomo, czy poprawi stan rzeczy, ale na pewno doprowadzi do zamieszania, — jeżeli nie na dziesięć, to przynajmniej na pięć lat. A na to nie można sobie pozwolić wobec olbrzymich zadań uczelni.

Wreszcie jeden apel, na który proszę mi pozwolić, jako jednemu z seniorów i pracowników Akademii od jej początku: do pracy harmonijnej i zgodnej. Różnice poglądów mogą i z natury rzeczy muszą istnieć, ale praca uczelni musi iść pod hasłem lojalnej koleżeńskiej współpracy wszystkich dla dobra całości.

Tylko w ten sposób osiągniemy wielkie cele AGH!

U W A G A!

Jeśli interesujesz się historią Twojej Uczelni, życiem młodzieży i pracowników AGH — skompletuj rocznik „Wektora".

Komplety „Wektora" za rok akademicki 1956/57 (n-ry 1—9) w cenie zł. 5.— można nabywać w lokalu Redakcji Gm. Główny III p. od 15 sierpnia br.

Ilość ograniczona!

WACŁAW KOWALSKI

Wspomnienia ze szlaku

Poniżej zamieszczamy (z pewnymi skrótami) wrażenia z „włóczęgi" wakacyjnej kol. Wacława Kowalskiego.

Autor nie „odkrywa Ameryki" w rozumieniu zblazowanych podróżników, lecz jego wspomnienia utrzymane są w stylu pamiętnikarskim; charakteryzuje je świeżość, szczerość i prostota. Bezpośrednie odczuwanie przyrody i ciekawe, niekiedy bardzo trafne obserwacje z życia tzw. prowincji czynią z tych wspomnień lekturę żywą i interesującą.

Wędrówka ta miała miejsce w r. 1950, lecz poza faktami historycznymi, widać, jak niewiele zmieniło się w miasteczkach i wsiach mimo upływu siedmiu lat.

Zamieszczając „Wspomnienia ze szlaku" NA CZASIE, bo w numerze wakacyjnym, mamy też i inny cel na oku. Uważamy, że taka włóczęga to bardzo dobra (i tania) forma spędzenia urlopu czy wakacji. Przyjemna, ciekawa i kształcąca. A więc zachęcamy do włóczęgi.

A po powrocie prześlijcie nam swoje wrażenia. Dobre i ciekawe wydrukujemy, bez względu na to czy dotyczyć one będą włóczęgi po Anglii, Francji, Niemczech, Holandii czy też po Mazowszu, Podhalu i Bieszczadach. Szczęśliwej drogi!

REDAKCJA

POCZĄTEK HISTORYCZNEJ ESKAPADY.

PIERWSZE ZETKNIĘCIE Z PROWINCJĄ

Kiedy stykamy się sam na sam z naturą, kiedy owiewa włosy ożywczy wiatr od pól — w sercu człowieka pojawia się uczucie siły, pewności, magazynuje się tak potrzebna w życiu energia, spokój i opanowanie. Pokonywując przestrzeń uczymy się pokonywać trudności życia, obcując z ludźmi lepiej ich rozumiemy, widząc prawdę życia nabieramy nienawiści do blagi.

Wszystkie te czynniki, połączone z żyłką awanturniczą wypędziły mnie pewnego letniego dnia z rodzinnych pleleszy i z niezbyt wypchanym plecakiem rzuciły na szlak. Był lipiec 1950 oku. Rozpoczęła się cygańska wędrówka.

Warszawa była dla mnie czymś w rodzaju bazy ekspedycji. Ostatnie zakupy, ostatnie pożegnania ze znajomymi... i oto rogatki. Była niedziela. Nucąc fałszywym tonem „Warszawo, ty moja Warszawo" odwalałem pierwsze kilometry historycznej eskapady. Zagłębiałem się w egzotyczny kraj, zwany przez laików prowincją. Deszczyk szumiał w sposób, uśmierzający wszelkie fantazje. Był pierwszą groźbą przyrody na usłanej cierniami drodze wędrowca. Jednak takie głupstwo jak deszcz nie odstrasza fanatyków. Warszawa pozostała wspomnieniem.

W Rembertowie nie znalazłem żadnych obiektów interesujących spokojnego obywatela o pacyfistycznych skłonnościach. Czuć oddech pobliskiej Warszawy. Wille i las-miasto i wieś. Dopiero za Zielonką wpływ Warszawy zdaje się słabnąć. Ozdobne szczyty mazowieckich chałup przeciwstawiają się hardo monotonności podmiejskich willi.

Kultura chłopska zdaje się tu zmagać z obcą jej jeszcze kulturą świata XX wieku. Mijam Kobyłkę z zabytkowym kościołem. Wołomin. Tłumy mieszkańców przechadzają się po głównej arterii korzystając z letniego popołudnia. Znów oddech Warszawy, znów piętno wielkiego miasta.

Znikły ostatnie podmiejskie wille. Nagły kontrast. Oto żółte wydmy piaszczyste, ubogie pólka wieśniacze. Pan sam? — pyta spotkana kobieta. Tu nie tak dobrze chodzić wieczorem samemu. Czasem się kręcą tacy, co mogą obrabować. Niedawno się zdarzyło...

Nad łachą wydm pochyla się sosenka. Na niebie czerwona łuna wieczoru. Janków to zbiór rozrzuconych kolonii i samotnych chat. Zamyślony wieśniak kręci głową. „Sołtys daleko, niema co szukać. Pościelę słomy na podłodze. Ano przenocujta się. Pan pewno z Warszawy, na niedzielę, tak na świeże powietrze?". Nie wyprowadzam go z błędu. Gospodarz jest pochmurny, nie wdaje się w długie rozmowy. Noc spowija okoliczne pola i laski, i zagubioną wśród pól chatę. W pobliskiej dolince wstają wieczorne mgły.

PRZEKLĘTE BUTY ODKRYWAM MAZOWSZE. MUCHY

Ranek towarzyszy mi chłodem. Radzymin jeszcze śpi. Miasteczko prowincjonalne, przytłumione przez stolicę. Oto stacja kolejowa. Paskudny but obciera nogę. A to przecież dopiero początek. Ogarniaja mnie ponure refleksje. Jak tu chodzić cały miesiąc z obtartą nogą? Miesiąc gonitwy z wywieszonym językiem. Tylko się nie przyznawać do swego projektu przed ludźmi, bo będzie głupio wracać przed terminem! Pociąg wypluwa mnie w Tłuszczu. Wychodzę na pola. Ogarnia mię radość, głupia radość odkrywcy. Na pobliskich wydmach zielenią się kudłate sosny, wśród małych ogródków przycupnęły szare chałupki wieśniacze. Znikła wstęga torów kolejowych. Ani śladu komina, samochodu. Wiejska prostota i wolność. Wolność od obowiązków. Mogę iść przed siebie, bo tak chcę, a nie dlatego, że mi ktoś każe.

Odczuwam piękno mazowieckiej ziemi, tych łach piasku i krzaków jałowca, kraju nizinnego, a pełnego życia. Ale upał... odzywa się głód, pierwszy sygnał południa. Międzyles. Śmiech dziewcząt i gromadka bawiących się dzieci. Młoda gospodyni i łysawy gospodarz. Wielkie hordy much tańczą nad głową. Dwie desperatki wpadają do barszczu. Rozmowa z gospodarzem przypomina Wesele Wyspiańskiego. Pytania są typu: A Chińczyki panie trzymają się? Poza tym jest nieco ostrożnego klęcia na demokrację.

W lasku płoszę kurkę wodną. Oto rzeka. Zdejmuję buty i przechodzę obok zniszczonego mostu.

Stanisławów robi na mnie wrażenie miasteczka odciętego od łączności z światem. Zacina deszcz, co usposabia mnie wrogo do osady. Nastrój mój zmienia staruszek. „Pójdź pan tą drogą. Wykładali ją drzewem Rosjanie, ho, ho kiedy. Cięgiem prosto przed siebie, ano, ano!". Dobrotliwy uśmiech staruszka rozprasza mą złość. Mimo deszczu świat jest znów piękny.

CZY PIJAK PRZYNOSI SZCZĘŚCIE? PAROBEK.

Drogą przejeżdża samochód. Czy zdążę? Ryzykowny skok do przejeżdżającego wozu i jadę. Na platformie obok mnie siedzi człowiek, który z uśmiechem od ucha do ucha słucha głosów oburzenia swego towarzysza. Towarzysz, lekko zamroczony alkoholem żali się na niewdzięczność tego świata, a następnie zasypia. Zobaczenie rano pijaka przynosi podobno szczęście, toteż jestem pełen dobrych myśli.

Mijam Mińsk Mazowiecki, który obecnie jest rozrastającym się miasteczkiem przemysłowym. Posiada reprezentacyjny park. Brakuje tylko bodaj jednej linii tramwajowej. Cywilizacja współczesna w postaci gazety.

Wydostaję się na pola. Na rozstajnych drogach wysmukłe kapliczki. Dochodzi południe i odczuwam głód. Piję więc mleko i zagryzam chlebem.

W Wielkim Otwocku zwiedzam opuszczony pałac. Dzień. się kończy. U sołtysa zbiera się gromada miejscowej młodzieży. Mówią o pracach przy budowie mostu na Wiśle. Sołtys posyła mię na nocleg. Otwiera drzwi parobek. Twarz parobka wydała mi się ponura i zagadkowa. Gospodyni opowiada o trudnościach życia wiejskiego. W pewnej chwili parobek, który dotychczas siedział cicho, zrywa się z miejsca. Oczy pałają mu ogniem, zaciśnięte dłonie. „Rozprawimy się z wszystkimi burżujami i krwiopijcami, tera my rządzimy" — krzyczy. Gospodyni pochyla się ku mnie. Niech pan nie zważa, co on mówi — szepce — to wariat!

WSPOMNIENIA DZIECIŃSTWA GŁĘBOKA PROWINCJA

Góra Kalwaria rozbudowała się na wysokim brzegu Wisły. Pamiętam nabożną cześć jaką odczuwałem, kiedy po raz pierwszy, jako młody chłopak przejeżdżałem statkiem obok tej miejscowości. Patrzyłem wtedy z lękiem na miasto, będące rezydencją rabina żydowskiego i słuchałem z głębokim przejęciem opowiadania, że każdy tu przejeżdżający musi tego rabina całować w brodę. Góra Kalwaria wydawała się wtedy miastem z bajki pełnym niespodzianek, tajemnic.

Za Kalwarią rośnie wysokie drzewo. Jest ono chlubą tutejszych mieszkańców. Wiekszość przyjeżdżających tu turystów fotografuje się na tle tego drzewa, uwieńczonego gniazdem bocianim.

Wysoko ponad doliną Wisły górują ruiny zamku w Czersku. Ruiny zamku pamiętają książąt mazowieckich. U stóp ruin bosy wyrostek pasie krowy. Wisłę przebywam promem, wraz z gromadą mieszkańców tych okolic, którzy przyglądają mi się spod oka. Zaczynam pojmować, że w tej chwili wyłamałem się z magicznego kręgu, zwanego okolicami Warszawy i wchodzę w tak zwaną głęboką prowincję.

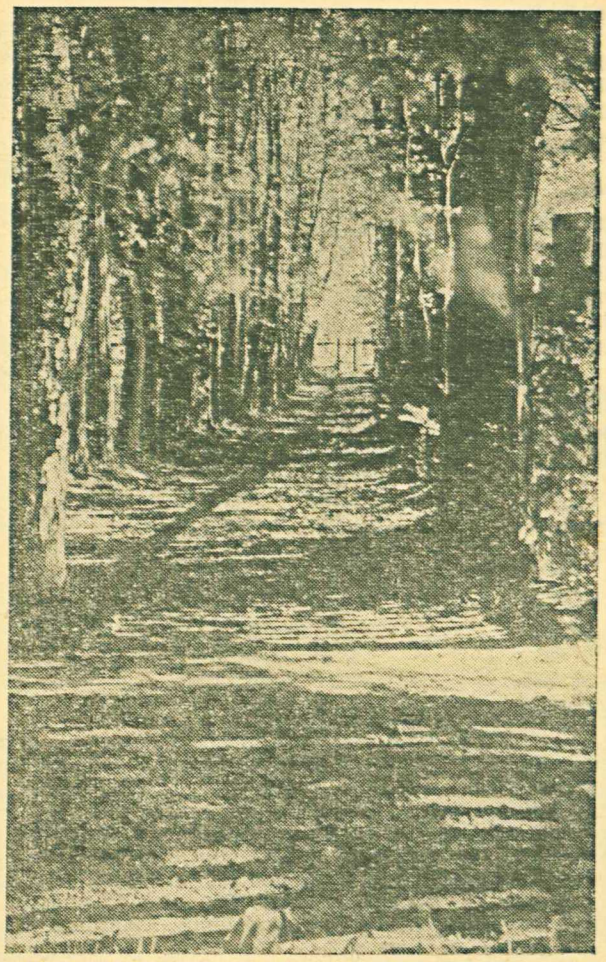

Foto: St. Stefaniszyn

HISTORIA KOŁEM SIĘ TOCZY

Przed kościołem w Żelechowie tłum ludzi. Jest niedziela. Upał nie zachęca do dłuższego pobytu w miasteczku. Za miastem ogarnia mnie lenistwo. Poco się spieszyć. Zatrzymuję się w cieniu strzechy na rozmowę z gospodarzem, siedzącym pod chatą. Pobliski pałac był miejscem zabaw i wystawnych przyjęć dygnitarzy przedwojennych. Panie, wisiały wtedy barwne lampiony całymi kilometrami, pod kopyta przejeżdżającym koniom rzucano kwiaty. Słucham ze zgorszeniem. Myślałem wtedy, że tylko kapitalistyczni bonzowie potrafią wydawać wystawne przyjęcia kosztem człowieka pracy.

POWITANIE ZIEMI KIELECKIEJ BABOM TRZEBA CHŁOPÓW

Wieprz wije się jak wąż wśród łąk nadrzecznych, podgryza brzegi, to znów zwala łachy piasku i tworzy wysepki. Jest wąski i groźny, to znów rozlewa się w dosyć szeroki potok: Jest skryty i nieodgadniony. Przewozi mię przez rzekę dobrze zbudowana kobieta — przewoźnik. Bobrowniki. Przy rynku pomnik ku czci legionistów. W Dęblinie robię potrzebne zakupy. Przechodzę most na Wiśle. Nagle uświadamiam sobie, że tak niedawno poznane Mazowsze, że kraina nadwieprzańska, że cały ten nizinny, a wcale nie monotonny kraj jest już wspomnieniem. Pośrodku mostu gestem pożegnania skłaniam głowę ku wschodowi, a następnie idę przed siebie. Pierwsza wieś ziemi kieleckiej. Zajezierze. Przyglądam się z ciekawością. Wkrótce spostrzegam, że również jestem obserwowany.

Przejeżdżający milicjant długo spisuje moje personalia. Opactwo. Pokój jest pełen dziewcząt. Pozabierali chłopów do wojska, to baby nie mają do kogo latać — tłumaczy ze śmiechem starszy gospodarz. Dziewczyny zaprzeczają chórem i starają się go przekrzyczeć, następują przekomarzania i żarty. Gdzieś w oddali gra harmonia. Za oknem świeci księżyc. W czasie wojny pędzili nas Niemcy, oj, pędzili — opowiada gospodarz. Tu był front i ewakuowano ludzi. Harmonia gra wesoło. Dziewczęta śmieją się z jakiegoś kawału. Nie zapomnij pan zobaczyć naszego klasztoru i grobów zakonników — radzi gospodarz.

KLASZTOR W OPACTWIE. O JABŁKACH NA DĘBIE I MILICJANCIE

Klasztor w Opactwie budowano w stylu barokowym. Wewnątrz kościoła malowane na ścianach imitacje tak łudząco przypominają rzeźby i kolumny, że trzeba dosłownie ręką dotknąć, by się przekonać o złudzeniu. Zakrystian prowadzi mię do podziemi, gdzie w ponurym, zimnym lochu leżą prochy zmarłych zakonników.

Podróżując po kraju nosiłem ze sobą notes, w którym wpisywali mi się spotykani po drodze sołtysi. Zachodzenie po pieczątkę stanowiło dla mnie często dobry pretekst do zdobycia pokarmu. Jadłem właśnie obiad, czekając na sołtysa, gdy zbliżyła się do mnie otulona w chustę kobieta. Tam od strony wsi idą dwaj ludzie — szepnęła. Ten z prawej, to sołtys, a z lewej milicjant. Będzie przygoda — pomyślałem. Jadłem jakby nigdy nic, obserwując gdaczące kury i wygrzewającego się pod domem łaciatego kundla. Tymczasem milicjant toczył ożywioną rozmowę z sołtysem, od czasu do czasu spoglądając w moją stronę. Skończywszy jeść podszedłem do przybyłych. Kto z panów jest sołtysem? — spytałem. Zaczęliśmy rozmowę, do której co chwila wtrącał się milicjant, dając tak zwane podchwytliwe pytania. Odpowiadałem przedewszystkim na pytania sołtysa, natomiast milicjanta zbywałem żartami, traktując go jako osobę nieurzędową, Kiedy pytania milicjanta stały się natarczywe, zwróciłem mu uwagę, że na tematy oficjalne rozmawiam z sołtysem, a nie z człowiekiem, o którym nie wiem, kim jest. Milicjant przycichł. Dopiero kiedy załatwiłem z sołtysem poprosił mię, bym mu towarzyszył. Zaniepokoiło mię to nieco. Przyczepił się taki i może będzie chciał przerwać mi podróż na jakieś parę dni — pomyślałem. Widząc, że nie ma innej rady, zacząłem mówić o pięknie ziemi kieleckiej i o

(dok. na str. 8)

MIECZYSŁAW CZUMA

KONIE

Maćkowi i Wackowi

Wierzą, posłuszne błotom i szosom,
w grudniu, czy maju,
że ich kopyta kiedyś doniosą
do końskich rajów...

I tylko czasem na senne oczy
kapie wątpliwość,
kiedy woźnica do baru skoczy
na małe piwo.

—

HAJŻE NA GOSZYCE!

Reportaż z Ośrodka Szkoleniowego AGH

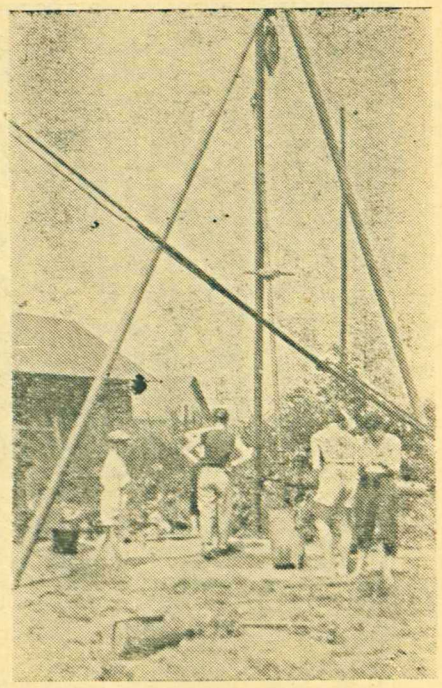

Ranny pociąg podmiejski z Krakowa, telepiąc rozklekotanymi wagonami, z ciężkim posapywaniem lokomotywy i piskiem hamulców wolno wtoczył się na niewielką stację.

— Łuczyce — Łuczyce — rozległy się głosy konduktorów — głośno obwieszczających nazwę stacyjki.

Po tych okrzykach z impetem otworzyły się drzwi kilku sąsiadujących ze sobą przedziałów i na peron wysypała się wrzaskliwa grupa młodych ludzi obojga płci, napełniając dotąd cichutką i jakby zastygłą w bezruchu stacyjkę beztroskim młodzieńczym śmiechem i wesołymi okrzykami. Podróżni — zawsze żądni sensacji — ciekawie wychylili się z okien wagonów ruszającego w dalszą drogę pociągu, lecz mała gromadka mieszkańców okolicznych wsi bez śladów większego zainteresowania prześlizgnęła się tylko wzrokiem po gotującej się już do wymarszu grupie. I nic dziwnego. Dla nich to widok prawie codzienny. Każdego roku z nastaniem wiosny, aż do końcowych dni września, z pociągu jadącego od strony Krakowa, co kilka dni wysiada gromadka studentów Akademii Górniczo-Hutniczej i kieruje swoje kroku do odległych o 5 km Goszyc, gdzie w Ośrodku Szkoleniowym odbywają się kilkudniowe, lub nawet kilkutygodniowe praktyki.

Ten hałaśliwy kolektyw studencki, który spotkaliśmy na stacji w Łuczycach, to studenci III grupy III roku Wydziału Geologiczno-Poszukiwawczego udający się właśnie do Goszyc na trzydniowe zajęcia praktyczne w ramach przygotowań do wakacyjnej praktyki wiertniczej. Korzystając z tego spotkania, będziemy im towarzyszyć przez cały okres pobytu.

Droga do Goszyc. Silne wiosenne słońce szczodrze zsyła zabójcze już, mimo wczesnej godziny, promienie. Wiatru ani na lekarstwo. Piekielna gorączka jest chyba — wobec tych potoków słońca — dziecinną igraszką. To też zaraz po wyjściu ze stacji cała jednolita grupa rozbija się na szereg grupek i grupeczek, oddalających się od siebie coraz bardziej. Ostatni twierdzą, że nie ma po co się spieszyć, pierwsi, że śniadanie czeka. Argumenty czołówki bardziej nam przemówiły do... żołądka. „Walimy" z pierwszymi.

Kilkadziesiąt minut marszu. Skręcamy na ścieżkę, przy której stoi tablica z napisem: „Droga zamknięta — przejścia nie ma", i z cieni drzew wyłania się biała, świeżo odmalowana sylwetka „obszarniczego" dworku w którym mieści się Ośrodek Szkoleniowy AGH.

Pierwsze kroki kierujemy do kuchni. Śniadanie rzeczywiście gotowe, lecz ze spożyciem go trzeba poczekać na resztę. Piętnaście minut odpoczynku i wreszcie docierają do Goszyc ostatni maruderzy, wśród których oczywiście znajdują się Andrzej i Janusz.

Po śniadaniu i po podzieleniu się na zespoły robocze, wyruszamy do pracy. Pierwszy zespół przy pomocy odpowiednich przyrządów zajął się badaniem własności płuczki ilastej, drugi po ustawieniu trójnoga rozpoczyna ręczne wiercenie obrotowe stosowane przy wykonywaniu płytkich otworów wiertniczych, a trzeci obsługuje dziś maszynę wiertniczą typu „Crealius" używaną przy wierceniach geologicznych do głębokości 100 m.

O godzinie 14-tej koniec pracy. Zadowoleni z siebie jemy obiad, przerywany co chwila ożywioną rozmową i huraganami śmiechu. Niektórzy z troską oglądają swoje opalone na czerwono i obolałe plecy. Szkoda nie korzystać ze słońca, lecz co będzie po trzech dniach?

Po obiedzie i wieczorem czas wolny. Każdy stara się go sobie urozmaicić, jak może. Przy dwóch stolikach zasiedli do gry zagorzali bridżyści.

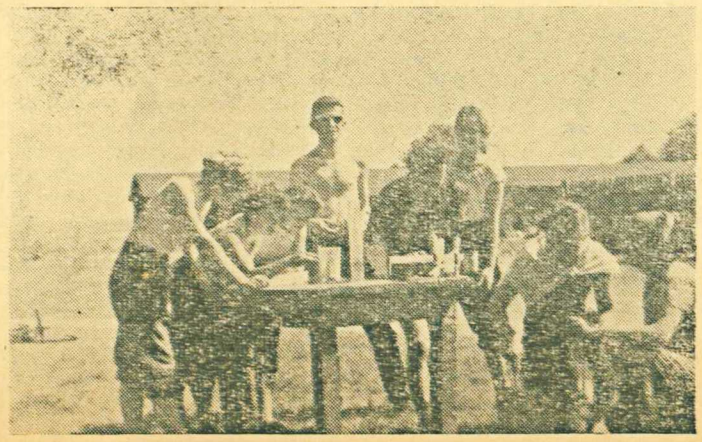

Kilka osób wyruszyło na wieżę triangulacyjną — stałe miejsce wycieczek praktykantów z Goszyc. A od czasu do czasu można zobaczyć jak w stronę lasu wymykają się dyskretnie, trzymając się — o zgrozo — za ręce, na miejscu utworzone, lub też „stare" parki. Wieczorem w świetlicy, przy magnetofonie przywiezionym przez Marka, do późnych godzin wieczornych trwają tańce na umór. Wybuchy śmiechu towarzyszą nieudolnym wysiłkom Zbyszka usiłującego produkować się w rock and roll'u. Wreszcie o północy wszystko cichnie. Stary dworek zdaje się być pogrążony w głębokim śnie. Lecz cóż to? Uszu naszych dochodzą jakieś szmery. Pięć zakapturzonych postaci cicho otwiera drzwi do sypialni dziewcząt, niosąc ze sobą przyrząd przypominający zwykłą puszkę. Po chwili z puszki, która okazuje się hydronetkę przeciwpożarową, dobywa się strumień wody. Rozlegają się rozespane głosy dziewcząt, a zakapturzone postacie bezszelestnie nikną za drzwiami sypialni chłopców.

Alina i Urszula — najmocniej poszkodowane przez „kataklizm" — chciały początkowo czuwać do rana, lecz i je już po pół godzinie sen zmorzył na dobre.

O siódmej rano pobudka. Obowiązkowe śniadanie. Zmiana zespołów przy stanowiskach roboczych. Jeszcze jeden dzień i choć niechętnie, trzeba jednak wracać do Krakowa.

A następnego ranka stacja w Łuczycach znowu zaroi się pstrokatym tłumem studentów, wysiadających z pociągu krakowskiego.

Jerzy Zieliński
Zdjęcia: Zofia Kozioł

25200 szklanek musztardy

Gorąco tu jak w piekle. Wentylator pracuje bez przerwy. Kilkanaście kobiet w białych chałatach krząta się między wielkimi kotłami. Wszędzie porządek i czystość rzuca się w oczy.

Jestem w stołówce PSS nr 29 przy Akademii Górniczo-Hutniczej. Pracują tu 42 osoby. Korzystając z uprzejmości kierowniczki, która pokazuje mi wszystko z czym się wiąże ciężka praca w stołówce, oglądam cały ten obiekt „od środka".

Czuję kroplisty pot na czole, — ależ tu gorąco! Wychodzimy z kuchni i mijamy przyległe pomieszczenia. W jednym z nich młoda energiczna panienka walczy jak tytan przy pomocy maszynki o napędzie katarynkowym z pełnym koszem chleba.

Kilkanaście kroków dalej w biurze kierowniczki panuje względny chłód i cisza. Wchodzimy do biura. Zaproszony przez gospodarza — kobietę, siadam przy stole. Na przeciw mnie stoi telefon. Nieco wyżej, na ścianie dostrzegam jakieś zapiski ołówkiem: kilka pięciocyfrowych numerów telefonów. To chyba te najważniejsze — od zaopatrzenia w mleko, masło, wędliny, mięso i dorsze.

Znamy dobrze okienko łączące kuchnię z salą jadalną stołówki. Nie raz staliśmy w ogonku zbliżając się obiadu z prędkością kulawego żółwia. Padały wtedy słowa „Ależ się ruszają — jak słonie w koronkowych majtkach!" Dreptaliśmy w miejscu w takt marsza granego przez puste kiszki.

Tymczasem za ścianą, w której tkwiło „żarciodajne" okienko, peronel kuchenny wychodził ze skóry. Bo jak tu usmażyć 1500 kotletów na jednej patelni choćby elektrycznej?

Stołówka posiada wprawdzie dwie takie patelnie, lecz włączenie drugiej do sieci natychmiast pozbawia patelnie i stołówkę prądu.

Trzeba przerobić, trzeba naprawić i... do dziś nic się nie zmieniło. Na całą kuchnię jest jeden zlew w posadzce, taki duży, że można go nakryć zeszytem. Do tego zlewu trzeba stać w kolejce, jeśli się np. chce odcedzić ziemniaki.

Wesoło? A jeśli i zaopatrzenie nie dostarczy na czas mięsa, chleba, masła itp. — trzeba czekać.

Aby ocenić obiektywnie, ile pracy wymaga przygotowanie śniadań, obiadów i kolacji, wystarczy zastanowić się nad poniżej podanymi cyframi:

Miesięcznie personel stołówki zużywa do sporządzenia posiłków 2500 kg cukru, 1630 litrów mleka, 1680 kg mięsa (z kośćmi), 30 kg herbaty, 20 ton ziemniaków, 5 ton kapusty, 600 kg masła, 600 kg dorszy, 2800 szklanek musztardy, 48000 bułek, 750 kg soli, 3000 kg chleba i wiele innych produktów.

Możnaby tą ilością nakarmić kilka smoków wawelskich — dorsze z powodzeniem zastąpiłyby siarkę.

Rano do stołówki przychodzą „podkradacze", by ukraść kawę lub herbatę do przyniesionego w kieszeni śniadania (w Szwecji niegdyś za to obcinano panom złodziejaszkom rączki!)

Są również studenci, którzy arogancko i nie przebierając w słowach obrzucają obelgami personel stołówkowy. Niedawno jeden ze stołowników, nb. obcokrajowiec, zadziwił przewodniczącego komisji stołówkowej i kierowniczkę stołówki, popisując się mistrzowską „wiązanką" wulgarnych epitatów. Gratulujemy z racji tak wnikliwego opanowania polszczyzny. Jednak wobec kobiet nasz drogi gość powinien starać się o inny dobór wyrażeń. Takie już mamy tu staroświeckie tradycje. Proponuję koledze przeprosić obrzucone obelgami osoby i czekam na wiadomość ze stołówki, że kolega nie zrezygnował z mojej skromnej propozycji.

Prośba stołówki do władz Uczelni ogranicza się do trzech pozycji: chodzi mianowicie o elektryczną maszynkę do krajania chleba, o maszynkę do odmierzania porcji masła i o przeprowadzenie remontu w miesiącach wakacyjnych, a nie na dwa dni przed uruchomieniem stołówki.

Jesteśmy pewni, że prośby te zostaną spełnione. Nie na darmo ma AGH tak energicznego i sprężystego dyrektora do spraw technicznych jak P. inż. Kozłowski!

PS. A skąd taki dziwny tytuł? Stąd, że właśnie 25200 szklanek musztardy konsumują w ciągu roku stołownicy naszej stołówki. Chociaż musztarda ponoć szkodzi na cerę... Smacznego!

B. Gniech

Krótko * Węzłowato * Krótko

340 studentów i studentek z AGH wyjedzie w tym roku na 2-tygodniowe wczasy wypoczynkowe. Ponadto 22 szczęśliwców skorzysta z wczasów zagranicznych w Czechosłowacji, Francji, Anglii, NRF, Holandii i Szwajcarii.

*

Naukowcy AGH utrzymują ożywione kontakty z zagranicznymi ośrodkami naukowymi. Ostatnio przebywali w Czechosłowacji prof. dr inż. Z. Kowalczyk oraz prorektor doc. dr inż. A. Oberc. Wzięli oni udział w obchodach 250 rocznicy założenia szkoły inżynieryjskiej w Pradze. Prof. dr inż. Z. Kowalczyk bezpośrednio z Pragi udał się na kilkutygodniowy pobyt w Szwajcarii na zaproszenie firmy „Wilde" z Genewy. Ostatnio wrócił z Włoch prof. mgr inż. Ludger Szklarski z Katedry Elektryfikacji Urządzeń Górniczych oraz prof. mgr inż. Z. Kawecki z zakładu urządzeń szybowych. Uczestniczyli oni w międzynarodowym kongresie poświęconym kolejkom linowym, który odbył się w Rzymie. Ponadto wrócili z podróży zagranicznych prof. dr inż. Wł. Kołek z Zakł. Maszyn Elektrycznych — który bawił we Francji, oraz prof. inż. J. Cząstka — Kierownik Katedry Wiertnictwa, który 5 tygodni przebywał w Związku Radzieckim.

*

W czerwcu br. gościliśmy na AGH delegacje studentów fińskich i węgierskich.

List z Czechosłowacji

Koszyce 25 maja 1957 r.

Szanowna Redakcjo „WEKTORA"

Kilka dni temu otrzymałem trzy numery Waszego pisma i nie wypuszczałem go z rąk, dopóki nie przeczytałem od A do Z.

Chciałem już dawniej nawiązać kontakt z Wami, ale dowiedziałem się, że zmieniliście firmę i przez pewien czas pismo nie wychodziło. Na „Dni Hutników" przybyła do nas delegacja z Waszej uczelni i właśnie przez nią nawiązuje z Wami kontakt. Przeżyłem dwa lata na AGH i zawsze czuję się członkiem tej Uczelni i interesuję się jej losem, rozbudową i postępem nauki. W 5-tym numerze „Wektora" zamieszczony został długi artykuł Kwestora AGH p. Franciszka Słowika p.t. „U przyjaciół w Czechosłowacji". Autor pisze tam dużo i pięknie o naszym kraju. Ja tą drogą chciałbym Wam powiedzieć, że nie pozostajemy Wam dłużni i przy różnych okazjach mówimy o Polsce i Polakach, jak o naszych najlepszych przyjacielach i braciach.

Jeśli nam się uda, to przyjedziemy na wakacyjną wymianę praktyk do Waszego kraju. Nasi studenci nie mogą się tego doczekać i bardzo się cieszą, że będą mogli zapoznać się z Waszymi osiągnięciami w górnictwie, które u nas nie są znane.

Na razie kończę tych kilka słów, przesyłając Wam i wszystkim czytelnikom „Wektora" gorące i przyjacielskie pozdrowienia.

inż. Siška František
Košice VŠT
Katedra Banictva

TAJEMNICE DOMÓW STUDENCKICH

Z kamerą na **Reymonta 17 i Wybickiego 2**

Tekst:
Radogost Zieliński
Zdjęcia:
inż. Zygmunt Łaszcz

Tak się jakoś dotychczas składało, że większość reportaży o życiu studentów w Domach Akademickich, jakie ukazywały się w prasie studenckiej, roiła się od morałów na temat porządku, niszczenia mienia społecznego, zachowania się itd. itp. Niektórzy tłumaczą to atmosferą panującą w „minionym okresie" (czego się tą atmosferą nie tłumaczy). Lecz może jednak było to poprostu najłatwiejsze wyjście dla reportażystów — droga po „najmniejszej linii oporu".

Idąc dziś na wędrówkę po Domach Akademickich AGH postanowiliśmy sobie solennie zboczyć z tych utartych ścieżek i w miarę naszych skromnych możliwości, przy pomocy pióra i aparatu fotograficznego marki „Kijew" zarejestrować na użytek naszych czytelników tylko same „obrazki" z codziennego życia studenckiego w Domu Akademickim. O ile nam to się udało, będzie można osądzić po przeczytaniu tego reportażu, i chyba przebaczysz nam czytelniku, jeżeli coś „wyszło" nie tak, jak chcieliśmy.

Rozmawiając o tych i podobnych sprawach stanęliśmy w obszernym holu DA przy ul. Reymonta 17. Chwila wahania i kierujemy swe kroki na IV piętro III bloku.

Pokój 417. Opary dymu tytoniowego i sześć osób zgromadzonych przy jednym stole. Mieszka tu pięciu kolegów z III roku geologii, a jeden przyszedł do nich w „gościnę".

— Jutro ostateczny termin oddania ćwiczeń z górnictwa ogólnego — informuje nas Tadek Szmigielski — i w związku z tym panuje dzisiaj w naszym pokoju atmosfera wybitnie „nakowa". — Tak jak zawsze „pięć przed dwunastą" — dorzuca Józek Wisz śmiejąc się głośno.

Prosimy, by sobie nie przerywali, robimy zdjęcia i idziemy dalej.

Piętro niżej na drzwiach napis R. R. Pokój bez numeru a właściwie odcinek korytarza przystosowany do celów mieszkalnych. Kamienna posadzka. Wewnątrz tylko jeden z jego mieszkańców — Józek Brzeżański z II roku górnictwa, który przyjechał do nas na studia z Czechosłowacji. Jest on zamiłowanym kinomanem, o czym świadczą drzwi i ściana wytapetowana postaciami mniej lub więcej znanych aktorek filmowych. I on się uczy, ale w cieniu „powabnych gwiazd". Podobno pod takim patronatem nauka idzie lżej. My nie próbowaliśmy, lecz spróbować zawsze można, bo jeżeli nie pomoże, to na pewno nie zaszkodzi.

Przed odejściem rzucamy jeszcze ostatnie spojrzenie na uroczą „Czarownicę" i wzdychając schodzimy na I piętro.

Po drodze nachodzą nas refleksje, że wybraliśmy niestosowną porę dla zrobienia reportażu. Obrazy jak dotąd jednostajne, wszyscy się uczą, jednym słowem sesja.

Pokój 123. Przy stole trzech muszkieterów z I mgr. metalurgii nieustępliwie atakuje różnego rodzaju produkty żywnościowe. Menu kolacyjne wcale, wcale... kiełbasa, masło, bułki i butelka z napisem „Tokaj" napełniona — mlekiem.

Wędrujemy dalej. Na korytarzu dochodzi nas energiczny okrzyk „trzy bez atu!" i drugi: kontra — dobywający się z pokoju 129. Pukamy i nie czekając na zaproszenie, wchodzimy do środka. Zaskakuje nas naprawdę wzorowy porządek. Przy stoliku czwórka bridżystów i jedna koleżanka jako tzw. „kibic" która z obawy zidentyfikowania jej przez Prorektora do spraw młodzieży schowała się w trakcie robienia zdjęcia. Wprawdzie tłumaczyliśmy, że Prorektor ma ważniejsze sprawy, że gdyby nawet, to przecież nic zdrożnego, lecz agitacja ta niestety zawiodła.

Po opuszczeniu pokoju bridżystów i krótkiej naradzie wyruszamy na ulicę Wybickiego. Na miejscu czeka nas ciężka przeprawa i długie legitymowanie się na portierni. Portierka nie może zrozumieć, że ktoś do Domu Akademickiego może przychodzić, bez zamiaru odwiedzenia jakiejś konkretnej koleżanki. Wreszcie ten trud poza nami. Wdrapujemy się na II piętro, przechodzimy korytarzami utrzymanymi rzeczywiście wzorowo i wchodzimy do pokoju „do nauki".

Z portretów wiszących na ścianach witają nas marsowe twarze dostojników państwowych oraz zdziwione spojrzenia studentek siedzących za stołami. Wszystkie miejsca są zajęte. Większość wykonuje różnego rodzaju rysunki. Stoły są za małe i do tego celu się nie nadają. Bardziej pomysłowe koleżanki — jak np. ta uwidoczniona na zdjęciu studentka I roku geologii — powiększają sobie pole działania przy pomocy kaloryfera.

Wracając z pokoju nauki zawadzamy o kuchenkę. Ruch tu jak na Piccadilly. Rząd patelni, czajników i garnków, różnego formatu i różnego rodzaju.

Podobno do garnków się nie zagląda, lecz my zajrzeliśmy. Czegóż tam nie było! Jakaś wonna zupa grzybowa mniam, mniam, apetyczne ziemniaczki, pieczeń cielęca, naleśniki, kompot z rabarbaru oraz oczywiście kawa i herbata. Widząc, że ciasta na naleśniki jest stosunkowo dużo, usiłowaliśmy wprosić się na kolację, lecz okazało się, że amatorzy podobni do nas już wyczekają w pokoju na powrót koleżanki Marysi Bani.

W trakcie tych dwustronnych negocjacji na temat naleśników, Hanka Rożnowska przyrządzająca cielęcinę, dyskretnie ulotniła się, choć ostatecznie i cielęcinka byłaby nie do pogardzenia.

Ponieważ kuchnia przypomniała nam o potrzebie zjedzenia kolacji, postanowiliśmy odwiedzić jeszcze tylko jeden pokój. Numer 418. Mieszka tu 8 (słownie: osiem) studentek I roku geologii. Pokój dzięki sprytnemu przegrodzeniu przy pomocy szaf jest podzielony na dwie części czteroosobowe. Ta inowacja na pierwszy rzut oka korzystna — według relacji mieszkanek — jeszcze zwiększa istniejący tłok, gdyż prawie zawsze wszystkie gromadzą się w jednej części lokując się po dwie na piętrowych łóżkach.

Mieszkanki są bardzo rezolutne i rozmowne. Oprócz trudności lokalowych opisują nam jeszcze — bez dodatkowych pytań z naszej strony — przebieg praktyki w Krościenku, wymieniają uwagi (nie zawsze pochlebne) o profesorach i asystentach, no i w ogóle mówią i mówią. Te oczy wlepione (na zdjęciu) w podręczniki to tylko poza. No cóż. Na pierwszym roku jest się jeszcze pełnym zapału i złudzeń, ale... stop. Niedługo, a wbrew zapowiedziom przeszlibyśmy do morałów, od których na wstępie tak solennie się odcinaliśmy.

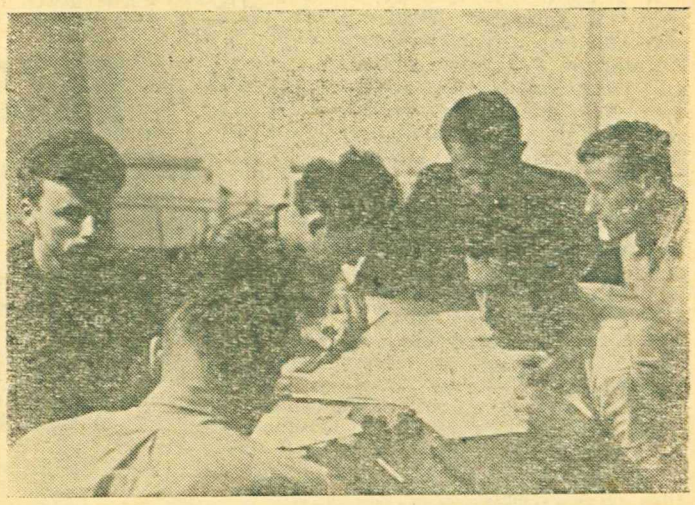

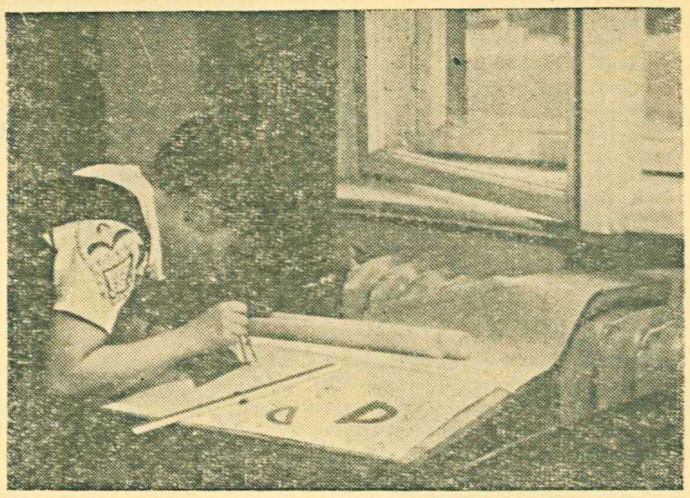

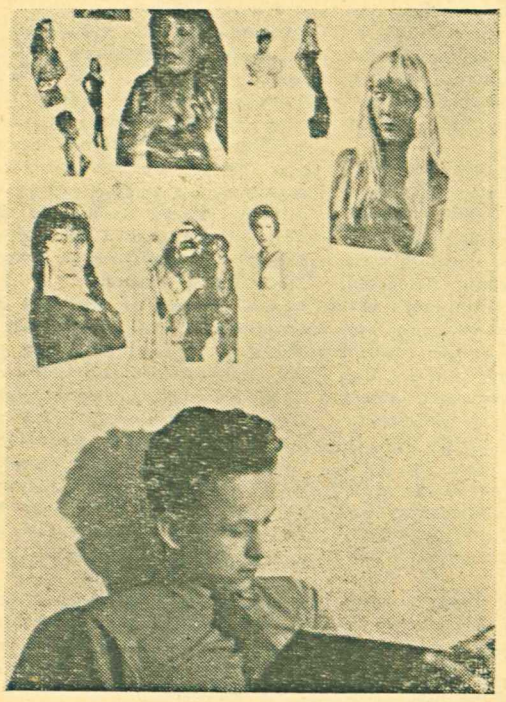

Dr STEFAN BIAŁAS

ADAM SZYBIŃSKI

HISTORIA AGH

6

W grudniu 1919 r. z inicjatywy profesorów Akademii oraz sfer górniczych, powstało Kuratorium Finansowe Akademii Górniczej, którego zadaniem było zarządzanie funduszami, składanymi przez instytucje górnicze na cele Uczelni. Po wzajemnym porozumieniu się w tej sprawie, Rada Zjazdu Przemysłowców Górniczych na posiedzeniu odbytym w dniu 19 grudnia 1919 r., uchwaliła — na wniosek dyrektora inż. Romana Riegera — wpłacać na potrzeby Akademii miesięczny zasiłek w kwocie 15.000 koron. Pierwszy zasiłek wpłynął dnia 13 stycznia 1920 roku.

Na pierwszym posiedzeniu, zwołanym na dzień 7 lutego 1920 r. przez rektora dr Antoniego Hoborskiego, uchwalono tymczasowy regulamin Kuratorium Finansowego i wybrano zarząd. Przewodniczącym zarządu został rektor Akademii dr Hoborski. Funkcje sekretarza pełnił sekretarz Akademii Stanisław Ruzamski, a skarbnikami wybrano dyrektora inż. J. Naturskiego i prof. Jana Stocka. Z ramienia Starostwa Górniczego wszedł do zarządu Kuratorium Finansowego dr inż. Meyer, nadto z każdej grupy przemysłowej wspierającej Kuratorium Finansowe wszedł jeden delegat, a mianowicie: dyrektor inż. Roman Rieger jako delegat krakowskiego Koła Związku Przemysłowców Górniczych, dyrektor W. Sągajło jako delegat Rady Zjazdu i St. radca górniczy inż. dr Czapliński jako delegat Koła Śląskiego.

Od chwili ukonstytuowania się zarządu, Kuratorium Finansowe rozpoczęło żywą działalność w kierunku zorganizowania kuchni dla studentów. Z braku odpowiedniego lokalu, studenci otrzymywali obiady w Stowarzyszeniu im. św. Zyty, następnie w kuchni urzędniczej, prowadzonej przez Małopolski Oddział Ministerstwa Przemysłu i Handlu. Do każdego obiadu w cenie 11 mk, dopłacało Kuratorium Finansowe 6 mk. Równocześnie zarząd poczynił starania o zakupienie artykułów żywnościowych, aby dostarczyć młodzieży tanich kolacji, które zaczęto wydawać od dnia 14 kwietnia 1920 r. w cenie 3,50 mk. Nadto otrzymywali studenci po 1 kg chleba tygodniowo za cenę 5 mk. Z pomocy Kuratorium Finansowego korzystało więcej niż 50% studentów. Prowianty otrzymywało Kuratorium Finansowe różnymi drogami, częściowo kupowało je na targu po cenach rynkowych, a częściowo dostarczała Ameryka, za pośrednictwem swoich Stowarzyszeń, a mianowicie: Amerykańskiego Wydziału Pomocy i „YMCA". Amerykański Wydział Pomocy dostarczał różnych artykułów żywnościowych, początkowo dla 90, później dla 150 studentów w ilości 305 gramów dziennie na osobę, a to: 7 gr kakao, 25 gr cukru, 40 mleka skondensowanego, 105 gr mąki, 55 gr fasoli, 30 gr ryżu, 15 gr tłuszczu i 28 gr konserw mięsnych. YMCA ofiarowała Akademii jednorazowo większą ilość prowiantów, nadto często umożliwiała studentom nabywania ubrań i bielizny po cenach zniżonych. Obu powyższym Instytucjom humanitarnym Akademia wyrażała niejednokrotnie gorące podziękowania za okazywaną pomoc naszej młodzieży. Dzięki pomocy Ministerstwa Aprowizacji, Kuratorium Finansowe otrzymywało po bardzo przystępnych cenach przydział większej ilości płótna i materiałów ubraniowych, które odsprzedawało studentom i personelowi Akademii po cenach własnych.

W celu zapewnienia opieki lekarskiej młodzieży i personelowi Akademii, Kuratorium uprosiło doc. dr Kazimierza Michejdę o przyjęcie godności stałego lekarza Akademii, nadto nawiązało kontakt z jednym z zakładów dentystycznych. W miarę rozwoju Kuratorium Finansowego, krystalizowała się jego organizacja w ramach tymczasowego statutu. Zarząd Kuratorium Finansowego zwoływany był raz na miesiąc i on wydawał ściślejsze dyrektywy Komitetowi Wykonawczemu, który stanowili profesorowie Akademii: dr Hoborski i dr Stock. Pierwszy z nich wspólnie z sekretarzem Akademii prowadził agendy związane z przewodnictwem i korespondencją, drugi prowadził sprawy gospodarcze i finansowe oraz składał sprawozdania przed tymczasowym zarządem. Liczne czynności związane ze sprawami gospodarczymi były wykonywane przy pomocy studentów, którzy składali sprawozdania ze swych czynności skarbnikowi, a więc jeden student prowadził rachunki za obiady, drugi miał nadzór nad wydawaniem kolacji, inny sprzedawał materiały ubraniowe, inny wreszcie starał się o prowianty. We wrześniu 1920 r. został opracowany statut Kuratorium Finansowego. Jednym z głównych jego celów było niesienie pomocy materialnej studentom i umożliwienie im przetrwania anormalnej sytuacji gospodarczej w Kraju. Mimo najlepszych intencji członków Kuratorium Finansowego, pomoc materialna okazywana studentom była niewystarczającą, gdyż fundusze na ten cel były minimalne.

Prócz jednorazowych zasiłków, które wpływały od różnych instytucji i osób, Kuratorium Finansowe otrzymywało stałą miesięczną subwencję od Rady Zjazdu obu Zagłębi węglowych w wysokości 10.500 mk. Na posiedzeniu w dniu 18 sierpnia 1921 r. Rada Zjazdu podwyższyła tę kwotę do 12,000 mk miesięcznie. Również Izba Pracodawców w przemyśle naftowym w Borysławiu, uchwaliła wypłacać miesięcznie na potrzeby Kuratorium Finansowego zasiłki w wysokości 10,000 mk.

Rok Akademicki 1920/21
Drugi od otwarcia Akademii Górniczej.

W r. akad. 1920/21 został otwarty w Akademii Górniczej drugi rok studiów. Projektowanego otwarcia trzeciego roku studiów nie można było dokonać, gdyż przeprowadzone wpisy na rok trzeci dały nikłe wyniki. Zgłosiło się zaledwie kilku kandydatów, dlatego Kolegium Profesorów uchwaliło nie otwierać w tym roku trzeciego roku studiów. Wszystkim kandydatom, którzy zgłosili się na trzeci rok studiów zalecono odbyć praktykę w kopalni i uzupełnić braki w nauce. Niestety, wypadki wojenne przekreśliły ten program i zmusiły młodzież do porzucenia myśli o praktyce wakacyjnej.

W pierwszych dniach lipca 1920 roku ogłoszono odezwę Rady Obrony Państwa i Naczelnika Państwa, nawołującą do tworzenia Armii Ochotniczej. Odezwa ta znalazła gorący odzew w sercach młodzieży, która jako pierwsza oddała się do dyspozycji władz wojskowych.

Wybrana przez nią egzekutywa wyznaczyła dzień 19 lipca 1920 r. jako dzień ochotniczego przeglądu wojskowego.

— — — — — — — — — —

Zawieszenie broni w listopadzie 1920 r. i częściowa demobilizacja młodzieży akademickiej, postawiła Zarząd Kuratorium Finansowego przed zadaniem specjalnego zaopiekowania się młodzieżą powracającą z frontu. Młodzież ta wziąwszy dobrowolny udział w kompanii zasłużyła sobie na opiekę starszego społeczeństwa tym więcej, że wróciwszy z frontu bezpośrednio do ław szkolnych, nie miała czasu i sposobności do przygotowania sobie zasobów finansowych na nadchodzący rok szkolny. Kuratorium Finansowe przyjęło młodzież z otwartymi ramionami i przede wszystkim zorganizowało dla niej kuchnię. Obiady otrzymywali studenci w kuchni urzędniczej w pałacu „Krzysztofory" (Rynek Główny), prowadzonej przez Małopolski Oddział Ministerstwa Przymysłu i Handlu, natomiast kolacje wydawano w budynku przy ul. Loretańskiej.

Wpisy do Akademii Górniczej odbyły się dopiero w ostatnich dniach listopada 1920 r., ponieważ sytuacja polityczna nie pozwalała na wcześniejszy powrót młodzieży do normalnych zajęć szkolnych. Wykłady i ćwiczenia rozpoczęto w dniu 1 grudnia 1920 r. na obu latach studiów, zaś dnia 4 grudnia 1920 r. odbyło się w sali Zakładu Mineralogicznego U. J. uroczyste otwarcie nowego roku akademickiego, poczym nastąpiła uroczysta imatrykulacja 80-ciu nowoprzyjętych studentów na pierwszy rok, oraz kilku stu-

(c. d. na str. 8)

Z cyklu: Biografie zasłużonych profesorów AGH

Prof. dr Walery Goetel

Prof. dr Walery Goetel urodził się dnia 14 kwietnia 1889 r. w Suchej pow. Maków, woj. krakowskie. W r. 1907 ukończył z odznaczeniem gimnazjum ogólnokształcące im. Nowodworskiego w Krakowie. Był początkowo studentem Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie w latach 1908—1911 studiował przyrodę i przedmioty geologiczne pod kierunkiem prof. dr. W. Szajnochy i prof. dr. J. Morozewicza. W celu dalszego specjalizowania się w geologii przeniósł się w r. 1911 na Uniwersytet wiedeński, gdzie kontynuował studia w pracowniach profesorów Uhliga i Suessa (geologia) oraz Dienera (paleontologia). W r. 1912 był na wyprawie geologiczno-górniczej na Transkaukazie, gdzie przeprowadzał badania poszukiwawcze za naftą w środkowej części Gruzji i sporządził mapę geologiczną tamtejszej okolicy. W r. 1913 otrzymał na Uniwersytecie wiedeńskim stopień doktora fil. z geologii i paleontologii.

Od jesieni 1913 r. był asystentem Gabinetu Geologicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego i tam prowadził ćwiczenia geologiczne dla przyrodników oraz geografów. W r. 1917 habilitował się na Uniwersytecie Jagiellońskim na docenta prywatnego, na podstawie rozprawy „Piętro retyckie i lias serii reglowej w Tatrach".

Dnia 6 czerwca 1920 r. dr Walery Goetel na podstawie wniosku Komitetu Organizacyjnego został mianowany postanowieniem ówczesnego Naczelnika Państwa profesorem nadzwyczajnym geologii i paleontologii w Akademii Górniczej, a w roku 1926 profesorem zwyczajnym.

Jako profesor Akademii Górniczej kieruje dr W. Goetel Zakładem Geologii Ogólnej, biorąc równocześnie żywy udział w pracach organizacji studiów w Akademii i kształcąc szereg uczniów, z których kilku zajmuje obecnie poważne stanowiska naukowe.

Pierwszą publikację naukową prof. W. Goetel ogłosił w roku 1911. Od tego czasu wydał drukiem w językach polskim, angielskim, francuskim i niemieckim szereg prac naukowych z dziedziny stratygrafii, tektoniki i geologii regionalnej, interesując się przede wszystkim zagadnieniami budowy i historii geologicznej obszarów górskich. Prace prof. W. Goetla są znane nie tylko w Polsce, ale szeroko zagranicą. Prof. W. Goetel jest wybitnym wykładowcą oraz popularyzatorem nauki.

Oprócz prac z zakresu geologii ogłosił prof. Goetel liczne prace z zakresu ochrony przyrody i jej zasobów również w wydawnictwach polskich i zagranicznych. Prof. Goetel pracami tymi zyskał stanowisko jednego z czołowych znawców zagadnień ochrony przyrody i jej zasobów w skali światowej.

Ostatnio prof. Goetel zajął się szczególnie palącym zagadnieniem zasobów przyrody nieożywionej (surowce mineralne, woda itd).

W latach 1913—1929 był prodziekanem i dziekanem Wydziału Górniczego oraz prorektorem Akademii Górniczej. Wybrany w roku 1935 jednomyślnie na rektora A. G. nie został na tym stanowisku zatwierdzony przez ówczesnego sanacyjnego ministra Oświaty z powodu przekonań politycznych. W czerwcu 1939 został ponownie jednomyślnie obrany rektorem AG i w dniu wybuchu wojny 1 września 1939 r. objął urzędowanie. Wobec zamknięcia przez najeźdźców hitlerowskich wszystkich szkół wyższych, utworzył w filialnym budynku AG przy ul. Krzemionki Szkołę Górniczo-Hutniczo-Mierniczą, w której uczyli profesorowie Akademii Górniczej i Uniwersytetu Jagiellońskiego, prowadząc tajne nauczanie na poziomie szkoły wyższej. W wyniku tej akcji, prowadzonej przez rektora W. Goetla z pełnym zaparciem i poświęceniem, dostarczono z chwilą powstania Polski Ludowej przemysłowi górniczemu i hutniczemu kilkuset wykształconych fachowców, co przyczyniło się znacznie do opanowania trudnej sytuacji.

Objąwszy w lutym 1945 r. już jawnie funkcje rektora doprowadził prof. W. Goetel do rozszerzenia Akademii Górniczo-Hutniczej na uczelnię 8-wydziałową, prowadząc z wielką energią rozbudowę gmachów i laboratoriów uczelni. Stanowisko rektora piastował aż do 1951 roku.

Prof. W. Goetel wykazywał stale dużą troskę o młodzież, pełniąc od roku 1920 do 1935 funkcję kuratora Bratniej Pomocy Studentów AG oraz przez cały czas przedwojenny funkcję sekretarza-skarbnika Kuratorium Finansowego AG. W czasach międzywojennych był jednym z głównych inicjatorów budowy bursy studentów przy ul. Gramatyka, a po wojnie budowy domów studenckich przy ul. Reymonta.

Jest jednym z założycieli Akademickiego Związku Sportowego w Krakowie i przez szereg lat był jego prezesem, a następnie kuratorem. Był czynnym sportowcem: taternikiem, narciarzem, wioślarzem i lekkoatletą.

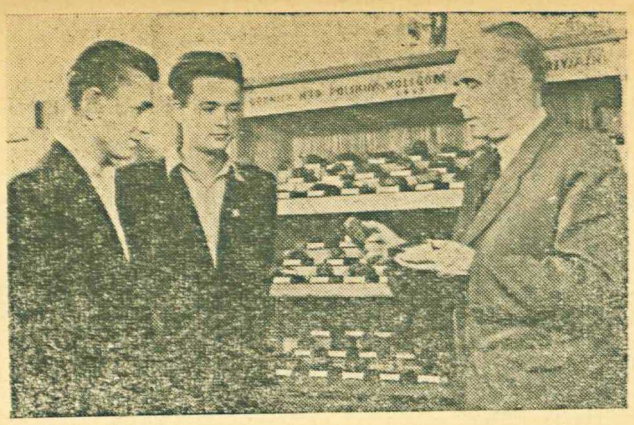

Wśród funkcji społecznych prof. W. Goetla, związanych bezpośrednio z naszą uczelnią, należy wymienić pełnienie od szeregu lat funkcji przewodniczącego Stowarzyszenia Wychowanków AGH oraz przewodniczącego Komitetu Współpracy Naukowców z Robotnikami.

Zajmując się żywo sprawami naszej górskiej granicy południowej był prof. W. Goetel w latach 1919—1920 przewodniczącym Komitetu Plebiscytowego Spisko-Orawskiego, następnie delegatem rządu Polskiego delimitacji granicy polsko-czechosłowackiej, którą przeprowadził, biorąc również udział w odnośnych pracach Ligi Narodów oraz zawierając szereg umów granicznych polsko-czesko-słowackich. Przez szereg lat pełnił funkcję prezesa Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, a obecnie jest przewodniczącym Komisji Turystyki Górskiej Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego.

Prof. W. Goetel odbył liczne podróże naukowe do wszystkich krajów europejskich i wielu krajów Afryki i Azji oraz brał udział i był organizatorem licznych zjazdów i kongresów naukowych; jest członkiem szeregu instytucji naukowych w kraju i zagranicą oraz doktorem honoris causa Akademii Górniczej w Ostrawie w Czechosłowacji.

Posiada wysokie francuskie odznaczenie naukowe: Wielki Srebrny Medal Tow. Société d'Acclimatation de France".

Za swą działalność naukową, społeczną i polityczną otrzymał prof. Goetel wysokie odznaczenia zagraniczne i polskie (wśród tych ostatnich Krzyż Grunwaldu II kl., Krzyż Odrodzenia Polski III kl., Sztandar Pracy I kl. i 4-krotny Złoty Krzyż Zasługi).

Jako członek-kor. Polskiej Akademii Nauk prof. Goetel jest aktywny w szeregu placówek PAN jak Instytut Ochrony Przyrody PAN, Komitet Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego PAN, Komitet Zasobów Wód PAN itd.

Prof. W. Goetel jest członkiem Rad Naukowych kilku Instytutów Naukowych. Był posłem do Krajowej Rady Narodowej, jest Radnym Wojewódzkiej Rady Narodowej w Krakowie itd.

Prof. W. Goetel pracuje intensywnie na polu współpracy nauki z przemysłem i techniką, a w szczególności nauk geologicznych z górnictwem.

MARIA SUKNĄROWSKA

Wieczorami

A wieczorami konie chodzą pieszo po
[Krakowie
i lampy świecą inne
to nie są uliczne latarnie
Widać wszystko
twarde kwadratowe płyty chodnika
i liście co się wietrzą na drzewach

i dzień który nie będzie znowu taki sam
czeka

A wieczorami ludzie siedzą przytuleni do
[swoich wspomnień
starzy ludzie i młodzi ludzie
przytuleni do swoich wspomnień
Wieczorami konie pieszo w Kielcach
[w Sztokholmie
Ludzie siedzą cichutko.

Pamiętanie

Wściekłe pieski salonowe
rzuciły się razem na kogoś.
Trzeba umyć dobrze ręce
— z pyszczków kapie nieprzyjemna piana.
Potem kazać wszystkim obciąć głowy
i kudłate trupki niekompletne
ułożyć równo na dywanie.
Niech sobie leżą,
aż się okaże, że były całkiem zdrowe.
Dobra ciocia uroni cztery duże łzy,
a dzieci zakopią
i będą długo nosiły kwiaty
— wspaniała zabawa
w pogrzeb
i pamiętanie.

Pusta ściana

Pusta ściana
gorsza od szubienicy
ani monotypii
ani muchy zielonej
Zimne dreszcze biegną po skórze
ile razy oczy łukiem
w dół
przez podłogę
po drodze po nogach krzeseł
jakiś stolik
albo górą
powietrze pełne nieważnych drobiazgów
sufit z lampą
i znowu ona
Czasem gwałtowne odwrócenie głowy
prościutko
nie widząc nic po drodze
wtedy może trochę lżej
Ale
dniami godzinami
spojrzenia łukiem coraz częściej

Żeby choć jakiś okrągły słonecznik

nasz stały

felieton

Jeszcze kilka dni, a zmora egzaminów i zaliczeń przepadnie precz z uczelni. Pochylone nad książkami głowy podniosą się z ulgą (niezależnie od wyników sesji), że już po wszystkim, zmęczone oczy z chciwością będą wchłaniać młodą jeszcze zieleń czerwcowych traw, a skóra domagać się zacznie stanowczo mocnych porcji słońca. Lenistwo rozleje się po kościach i wygładzą się zmarszczki zamyślonych czół. Życie stanie się jakieś łatwiejsze, minie chwilowo zmora terminów, dni, godzin. Nawet niedawni gnębiciele-asystenci i profesorowie nabędą z powrotem ludzkich cech i można będzie czasem pomyśleć o nich bez złości. Wreszcie wakacje! Hola, hola! Jakie tam wakacje? Rozpogodzone czoła marszczą się ponownie tym razem w odruchu złości: Pierwszego lipca zaczynamy 6—7 tygodniowe praktyki wakacyjne (o ironio, znów to słowo!), lub poligon, ...wrzesień przeznaczony jest na sesję normalną i poprawkową. Od 1-go zaś października wykłady i ćwiczenia. Proszę bardzo, oto wakacje studenckie! Nie mówiąc już o tym, że wielu z nas dorabia sobie w tym czasie na uzupełnienie niedoborów finansowych w ciągu roku. Rzeczywiście, trudno tu mówić o wakacjach. A przecież przeciętny pracownik umysłowy ma conajmniej 4 tygodnie urlopu w roku. Czy student nie jest pracownikiem umysłowym i czy jego praca umysłowa nie jest często bardziej intensywna i wyczerpująca, a warunki bytowe gorsze od niejednego urzędnika? Nie wydaje się też chyba słuszne liczenie na tzw. końskie zdrowie młodego człowieka, czego najlepszym dowodem są statystyki lekarskie. Akcją wczasów objęte są masy pracujących i z małymi wyjątkami może z niej korzystać każdy członek związku zawodowego. Mamy różne i atrakcyjne formy wczasów: stałe, wędrowne, narciarskie, turystyczne, kajakowe. A studenci? Tylko mały procent wybrańców losu może dostać skierowania na wczasy. Np. na AGH jest w tym roku 340 miejsc na 4000 studentów. Coś tu nie gra, proszę zwierzchności. Albo dbamy o zdrowie i prawo do wypoczynku „przyszłości narodu", albo... tutaj zahamowałem gwałtownie; bo niby jak? Cóż może załatwić jeden felieton, gdy organizacje młodzieżowe z Radą Naczelną ZSP na czele nic nie załatwiają? Gdy cała bitwa polega na staraniu się o kilkanaście miejsc więcej, zamiast dążeń do generalnej zmiany systemu organizacji wypoczynku młodzieży studiującej. Gdyby tak np. skrócić okres sesji na 2 tygodnie (1—15 czerwca) rozłożywszy egzaminy na kilka miesięcy — co dałoby się zrobić po zniesieniu rygorów zdawanych bezpośrednio po wysłuchaniu przedmiotu (jako rygory przyjąć egzaminy z przedmiotów wysłuchanych o semestr wcześniej).

Wtedy można by rozpocząć praktyki 15-go czerwca. Od 1—30 sierpnia zostałby czas na wakacje studenckie. Sądzę, że dałoby się to przeprowadzić zważywszy, że obecnie sesja trwa do 20 czerwca, a czas od 20 czerwca jest „sezonem" martwym. Możeby tak, proszę organizacji młodzieżowych — zastanowić się nad tym i wspólnie z władzami coś tam poprzemieniać na lepsze.

W jednym z ostatnich felietonów pisałem o teatrze Skuszanki w Nowej Hucie. Ostatnio byłem tam na spektaklu Goldoniego „Sługa dwóch panów". Wszystko co napisałem możecie sprawdzić na tym przedstawieniu. Doskonały zespół, świetna gra. Byłem w towarzystwie mojego przyjaciela, prorektora jednej z uczelni pozakrakowskich (tak, ma się tych przyjaciół na stanowiskach; prócz tego mam wśród przyjaciół jednego profesora z Poznania i jednego wiceministra, nie licząc paru drobnych dyrektorów departamentów i oczywiście ustosunkowanych wrogów. Uf! Teraz już będziecie z większą uwagą czytać felietony w „Wektorze"). Więc nawet mojemu przyjacielowi, prorektorowi, sztuka się podobała) (filolog klasyczny, ale zawsze...) A co dopiero nam, pomocniczym pracownikom naukowym w Uczelni technicznej, gdzie każdy jest z konieczności „sługą dwóch panów." Podobnie jak w sztuce, tak i w naszym życiu, ani słudze, ani obu panom nie wychodzi to na zdrowie. Tylko, że w sztuce łatwo było znaleźć rozwiązanie. A o słuszne rozwiązanie w życiu jakoś mało kto się troszczy. A Trufaldino, aby zdobyć obiad, musi dalej dokazywać cudów zręczności.

No, ale dobrze, żeśmy przynajmniej skończyli już z tym socrealizmem w SZTUCE, bo w życiu od dawna panuje soc-nie-realizm.

Len

J. PALESTRINI

SZCZELINA

Opowiadanie

Upłynęło już 10 minut, odkąd Paweł opuścił stanowisko asekuracyjne Jarka. Dziesięć minut i około 18 metrów drogi. Środek filara określony był w przewodniku jako „bardzo trudny", nawet nie „nadzwyczaj trudny", a jednak...

Jarek trochę zniecierpliwiony znów spojrzał na znieruchomiałą linę i po niej w górę do miejsca, gdzie po kilku metrach przeginała się na wywieszonym bloku skalnym. A dalej — dalej było już widać tylko wolno nad głową sunące obłoki. Gdzieś nad blokiem, zasłonięty przez skałę, tkwił Paweł.

— Tkwi — pomyślał Jarek, usiłując otrzeć sobie nos w rękaw wiatrówki. — No, trudno.

Jarek skończył ssać cukierek i „zabrał się" do oglądania widoków. Pod nogami sto kilkadziesiąt metrów w dole, szeroko rozsypany piarg, dalej pole maliniaków i wreszcie zieleń, zieleń — coś żywego. A obok z prawej i z lewej zerwy skalne z ciemnymi smugami kominów i krechami rys.

A powyżej... powyżej gdzieś stoi Paweł. Jarek mocniej zaciska linę naokoło pasa. — Powinien był zabić drugiego haka — myśli.

Szara skała jest odpoczynkiem dla oka. Paweł odrywa na chwilę wzrok od litej skały, w której dłuższą już chwilę uparcie i bezskutecznie wymacywał chwyt na lewą rękę i patrzy sobie pod nogi. Ekspozycja jest efektowna. Piargi na dole przypominają rozsypany przybrudzony cukier. Gdzieś o kilkanaście metrów poniżej stoi, zasłonięty przewieszonym blokiem, Jarek przypętlony do haka, na dość niepewnym stanowisku asekuracyjnym i czeka. Czeka już dobre parę minut na drobny chociaż ruch liny.

Prawa ręka Pawła zaczyna słabnąć. Ból w napiętych palcach przeniósł się na przedramię. Z uniesionej ręki spłynęła krew — na czole wystąpiły krople potu. Paweł miał pod sobą jeden hak, ale chyba gdzieś w połowie drogi. Czemu niema go pół metra pod sobą? Czemu... Znów drżenie nóg w łydkach. Hak. Kawałek miękkiej stali wbitej w szczelinę skalną. Jakiś oślizgły, wciskający się wszędzie niepokój. Paweł to zna: strach. Matematyczne zadanie śmierci: 9, no niech będzie 7 metrów do haka, 7 metrów poniżej, razem 14 metrów wolnego lotu. Wytrzymałość przeciętna liny — 8 metrów. Piargi, drobny rozsypany cukier. Piargi... Prawa ręka. Haka teraz nie wbije. Zresztą gdzie? Paweł z dużym wysiłkiem przenosi wzrok spod nóg na ścianę, pod kolana, pod biodra, pod piersi, przed twarz, pod ręce... Palce ma nieco opuchnięte. Naskórek równomiernie odrapany, jakby całe ręce natarł papierem szklistym. Takim, jakim Olga w domu czyści noże. Olga jest pedantka i nie znosi śladu rdzy. Co robi Olga teraz — myśli Paweł i lekko podciąga linę, która jak mu się zdaje, swoim ciężarem przeszkadza mu w ruchu do góry. Drżenie łydek staje się coraz silniejsze. Paweł ponawia swoje poszukiwania lewego chwytu. — To już granica — myśli — nie wytrzymam tak dłużej jak kilka sekund. A jednak sekundy przesuwają się wolno, mija ich kilkanaście, kilkadziesiąt. Jakaś zabłąkana kropla potu spływa Pawłowi na powiekę... J e s t. Jest chwyt na lewą rękę. Szczelinka, w której z trudem mieszczą się dwa palce. Dwa palce? Paweł wychyla się ostrożnie w lewo, aby szczelinę obejrzeć. Ale załom skalny przesłania ją prawie zupełnie. Palce Pawła biorą na siebie rolę oczu. Zaokrąglona, jak mięsisty fałd skóry, sięga w głąb na 1,5, 2 centymetry. Jest cudownie szorstka od skalnych porostów. O, wewnątrz jest mały załomik (— może w tym miejscu będzie 3 centymetry głębokości?) — U góry przechodzi w krótkie płytkie pęknięcie, kończące się gładzizną płyty.

Paweł opuszcza w dół rękę. Palce muszą przez chwilkę odpocząć. Krew napływa do nich wolno. Tak. Paweł nie poświęca już uwagi swoim nogom i obolałej prawicy. Teraz szybkim ruchem podnosi lewą rękę do góry i nieomylnie już trafia na szczelinę. Niemal precyzyjnie wkłada w nią dwa palce: wielki i wskazujący, najgłębiej jak się da i wewnętrznym ich łukom nadaje kształt brzegu szczeliny. Teraz leżą dobrze. Paweł próbuje obciążyć chwyt. Palce nie bolą znów tak bardzo i nie zsuwają się — to najważniejsze. Zresztą i tak m u s i im zawierzyć. To będzie chwila sekunda może... jeden krok. I jeszcze jedna sekunda decyzji...

Jak na zwolnionym filmie Paweł unosi ciało w górę, prostując prawą nogę. — To nie ja się podnoszę, to skała wolnym ruchem przesuwa się w dół — myśli Paweł. Oczy jego szukają już dalszych chwytów i stopni.

Jarek czuje, jak lina opasująca mu plecy napina się wolno i przesuwa w lewej ręce centymetr po centymetrze w górę. Jarek ziewa głośno: — No, znowu idzie.

Lina przesuwa się teraz szybciej; podaje ją już stale z ręki do ręki.

— Jeszcze cztery metry — krzyczy Jarek z zadartą głową.

— Dobrze — z za bloku słychać niewyraźnie — dochodzę do stanowiska.

— — — — — — — — — —

Na szczycie uścisnęli sobie dłonie przyjętym zwyczajem i zjedli po jednym jabłku.

— Jakże tam było, Paweł?

— No, trochę się zaklipiłem na czwartym wyciągu, wiesz w tym bardzo trudnym miejscu. Ale na ogół nie trudna. Prawda?

— Raczej tak — odpowiada Jarek zwijając linę.

Piargi na dole zachodzą cieniami popołudnia. Wyglądają teraz jak śmieszne osypisko nie posprzątanego gruzu.

Wspomnienia ze szlaku

(dok. ze str. 3)
kolorycie nieboskłonu. Jak w stosunku do was odnoszą się ludzie — spytał przedstawiciel władzy. Postanowiłem zagrać na schematycznym sposobie myślenia tego człowieka. Biedni dobrze, a im bogatsi, tym gorzej — odpowiedziałem. Tak, tak, to ta ich kułacka zawziętość, mruczał. A co mówią o wojnie? — Na ogół nie chcą wojny, ludzie mają jej dość — dałem ogólnikową odpowiedź. Z kolei zacząłem mówić o rozwoju naszego kraju, o Nowej Hucie, o zagospodarowywaniu ziem zachodnich i o imperialistach wszelkich maści i odcieni. Milicjant się rozruszał. Widzicie tę fabryczkę — pokazał. Było na początku kilku ludzi — zbudowano wszystko od podstaw. Tylko nam przeszkadzają. Ksiądz z Wysokiego Koła bardzo rozrabia. Niedawno rozgłosił, że na dębie urosły jabłka. Były istne procesje. A to nie były jabłka, tylko gałasówki, jak co roku. Chłopy wycierają brudne obrazy, a potem krzyczą, że cud, że im się odnowiły. Niedawno taką jedną trzeba było... ugryzł się w język. Więc idziecie do Czarnolasu — powiedział w pewnej chwili. Ładny dwór. Jest i park. Ot i jesteśmy w Gniewoszowie, a tu zaraz osada Granica. Teraz czas mi w drogę. Tam — pokazał przed siebie — jest posterunek MO. Jestem jego komendantem. To co z tego — spytałem. Ano, ano nic — odmruknął zaskoczony milicjant. Cześć pracy! Zawołałem na pożegnanie. Przygoda nastroiła mnie wesoło, na wspomnienie rozmowy z milicjantem nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Mą wesołą minę zauważył stojący przy drodze chłop. Dokąd to? — zapytał. Do Czarnolasu. E, nie wierzę. — Co poradzę — odkrzyknąłem. Trzeba trafu, że nazajutrz rano, wracając z uroczej siedziby Kochanowskiego natknąłem się na tegoż chłopa, który tym razem śmiał się pierwszy. Pan nie był w Czarnolasie — mówi. Kiedy pan szedł wczoraj, myślał ja, że w panu siedzi diabeł.

PAŁACE DZIECIŃSTWA

Kazimierz. Romantyczne ruiny warowni. Wspomnienia dzieciństwa. Tu spędzałem szereg miesięcy wczesnej młodości. Jak przez mgłę majaczą brodate postacie handlarzy żydowskich, beczki ze śledziami na rynku, jakieś ognisko harcerskie, lampiony, radość z otrzymanej nowej zabawki. Przypominam sobie przejażdżki łodzią po Wiśle i ostrzeżenia przed wirami. Miałem wtedy wielkie pragnienie. Chciałem wejść na wieżę kazimierzowskiego zamku. Wieża ta wydawała mi się czymś tak tajemniczym. Zaludniałem ją zaklętymi księżniczkami i czarownicami. Wydawało mi się, że wmurowana we wnęce śpi tam śpiąca królewna, o której się tyle nasłuchałem.

Z rozrzewnieniem przyglądam się studni na rynku i starym kościołom, spichrzom królewskim i pięknym kamieniczkom — obrazom. Przepiękne miasteczko. Zostawiłem w tobie część najpiękniejszych chwil życia.

Pod Kazimierzem jest łomik opoki. Przejeżdżam promem Wisłę. Na przeciwległym brzegu wyrasta łańcuch wzgórz, uwieńczonych ruinami warowni w Janowcu. Patrzę na ruiny przeszłości i widzę, że jest sens, by istniały. Są świadkami dawnej chwały i napawają otuchą na przyszłość.

WBRÓD PRZEZ POTOKI. SAM NA SAM Z CZAPLĄ

Od wczesnego ranka towarzyszy mi wał nadwiślański. Pachnące kwiaty i świeża zieleń traw. Z tyłu pozostały wyniosłe wzniesienia, z boku nie wysokie pagórki. Z lewej strony towarzyszy mi Wisła. Na mijanych strumykach niema mostów. Przechodzę je w bród. Nurzam się wśród łąk, wśród harmonii łąk i wody. Odurzający zapach miodownika i innych ziół. Pierwotność przyrody i piękno. Wśród sitowia pluskają się dzikie kaczki. Przyglądam się ich pląsom. Nagle staję. Przedemną w niewielkiej odległości stoi flegmatyczna czapla. Wtapiam się w jedno z tą pierwotną krainą, odczuwam spokojne piękno nadwiślańskich łęgów.

Solec jest dziwnie niespokojny. Rozsiadł się na płaskiej wierzchowinie i na stokach wyżyny, spadających ku Wiśle. Obok ruin zamku wcięty wąwozik lessowy. Typowe miasteczko z teki Skoczylasa.

Prastary kościół w Piotrowinie. Znów przepływam Wisłę. Mijam Józefów. Na niebie łuna wieczoru.

JAK SIĘ MASZ DR JUDYMIE. W RODZINNYM MIEŚCIE

Wschodzące słońce oświetliło swym czerwonym blaskiem ciemną krawędź wąwozu. Jakiś zagubiony promień musnął strzechę przydrożnej chaty. Przebudziłem się i zeskoczyłem z twardej pryczy. Na sąsiedniej pryczy spała młoda dziewczyna, kandydatka do akcji żniwnej. Cichutko ubrałem się i przygotowałem plecak. Ze stojącego na stole wiadra zaczerpnąłem kubek mleka, które wypiłem kilkoma łykami. Następnie chrząknąłem głośno. Zaspana gospodyni otworzyła najpierw jedno oko, potem drugie. Już idę. Dziękuję za nocleg — powiedziałem. Po wietrze było chłodne i zdrowe, nie rozgrzane jeszcze ciepłem słonecznym. Na przydrożnej trawie perliła się błyszcząca rosa. Nałęczów. Pretensjonalne wille. Drewniana chata przypomina bacówkę. Tu zmarł Żeromski. Chciał tylko dobra dla ludzi. Chciał sprawiedliwości i prawdy. Nie był członkiem żadnej partii. Był mimo to bardziej czuły na krzywdę od tysięcy współczesnych społeczników.

Park Nałęczowski wiele ucierpiał z rąk faszystów. Zniszczyli oni najpiękniejszą jego ozdobę — słynne źródło miłości. Siewcom nienawiści obca jest miłość. W parku bawią się dzieci. Uśmiecha się do nich kamienne popiersie pisarza.

Za szybami wagonu migają krajobrazy. Jadę do Lublina. Na myśl o tym mieście serce uderzyło mi szybszym rytmem. Wszak to moje miasto rodzinne... Nie byłem tam już od czterech lat Praca, rozrywki i wycieczki zajmowały przez ten czas całą moją uwagę. Teraz czułem się, jakbym miał spotkać dawno zapomnianego przyjaciela. Sadurki, Motycz... przypominały się znajome nazwy stacji. Lublin. Brama Krakowska i Trybunał, Poczta i Plac Litewski. Wspomnienia dawno przebrzmiałych dni i żywi ludzie. Po dwu tygodniach włóczęgi należała mi się przerwa w wędrówce i zasłużony odpoczynek. Utonąłem w błogiej bezczynności, zbierając siły do dalszej wędrówki.

To ciekawe

Brytyjscy eksperci bawiący ostatnio w ZSRR podają, że roczna ilość dyplomantów na uczelniach technicznych wynosi tam około 140.000, podczas gdy w USA wynosi ona tylko 75.000, zaś w Wielkiej Brytanii 12.000. Poziom wykształcenia inżynierów w tych trzech krajach według wymienionej oceny jest mniej więcej jednakowy.

*

W najbliższych 10-ciu latach W. Brytania będzie potrzebowała 85 tys. inżynierów i badaczy technicznych. Obecnie pracuje tam 56.230 naukowców i 78.470 inżynierów — czyli łącznie 134.700 pracowników technicznych. Zatem wzrost zapotrzebowania wynosi 63%.

*

Transport hydrauliczny miału węglowego wyszedł poza ramy eksperymentu. W Cleveland pracuje rurociąg o długości 180 km, o średnicy 250 mm, wydajności 150 t/godz., w tym 50% substancji węglowej. We Francji w Carling pracuje rurociąg o średnicy 375 mm długości 10 km, o rocznej wydajności 1 mln ton. Miał węglowy podaje do instalacji 5 pomp odśrodkowych napędzanych silnikami o mocy 400 KM.

Uwaga! Rozwiązanie Konkursu z Nr 7—8 „WEKTORA"!

W poprzednim numerze naszego pisma zamieszczony został konkurs dla czytelników, polegający na wyszukaniu w kolumnie „Humoru studenckiego" dowcipu, wydrukowanego w jednym ze starych numerów b. „Naszych Spraw". Chodzi tu o „myśl" M. Maja z nru 8 (23) „N. S.": „Stypendium, pusta głowa i niewybredny dowcip jeszcze nie tworzą studenta".

W wyniku losowania nadesłanych prawidłowych odpowiedzi dwie nagrody po 100 zł przypadły — kol. Jadwidze Skibównej z Wydz. Ceramicznego i kol. Alojzemu Kraskowi z Wydz. Geolog.-Poszukiwawczego.

W/w. koledzy proszeni są o zgłoszenie się po nagrody do sekretarza Redakcji.

Redaguje kolegium w składzie: A. Dunikowski, B. Gniech, W. Lenkiewicz (Red. Naczelny), M. Maj, L. Maruta (sekr. Red.), B. Węklar (z-ca Red. Nacz.), Z Kłeczek, R. Zieliński. Adres: Kraków, Al. Mickiewicza 30, III p. — KZG-8 — zam. 153 — M-10

FRASZKI

Jan Bolesław Ożóg

ŻYCZENIE

Gdy spadną mi z czoła
laurowe jagódki,
podnieś je, niech krążą
na kształt kropel wódki!

Niech poi rok cały
moszcz w rym wyciśnięty
z cierpkich jagód chwały,
aby wam szło w pięty.

———

Mieczysław Czuma

*

szoferom poświęcam
Współczuj stonodze
Na polskiej drodze.

L.M

MYŚL

Nie cały umrę. Zostanie po mnie
garnitur — prawie nowy.

Karol Dusza

PO BURZY

Tynków odpady
Tęsknią do fasady.

WYCIECZKA ZAGRANICZNA

Rys. Jacek Gaj

HISTORIA AGH

(dok. ze str. 6)
dentów z drugiego roku studiów. Maksymalną liczbę studentów dla pierwszego i drugiego roku studiów ustalono po 80-ciu. Pierwszeństwo przy wpisach na rok drugi mieli studenci pierwszego roku z Akademii Górniczej w Krakowie, pod warunkiem, że uczynią zadość wymaganiom końcowego egzaminu rocznego. Jeżeli nie wszyscy studenci z pierwszego roku byli uprawnieni do wpisu na rok drugi, mogli być przyjęci na drugi rok studiów także inni studenci, jeśli wykazali się odpowiednimi dowodami.

Ze wzrostem prac w Akademii, powiększyło się Kolegium Profesorów. Ówczesny Naczelnik Państwa mianował:

1) postanowieniem z dnia 10 listopada 1920 r. inż. Henryka Korwin-Krukowskiego zwyczajnym profesorem metalurgii żelaza,

2) inż. Karola Bohdanowicza b. profesora Instytutu Górniczego w Petersburgu i b. dyrektora Komitetu Geologicznego tamże, zwyczajnym profesorem geologii stosowanej i minerałów użytecznych,

3) postanowieniem z dnia 27 sierpnia 1921 r. inż. Oskara Nowotnego, b. adiunkta i zastępcę profesora Akademii Górniczej w Leoben, profesorem zwyczajnym geodezji i miernictwa podziemnego,

4) postanowieniem z dnia 9 września 1921 r. inż. Antoniego Rodziewicza-Bielewicza, b. profesora Politechniki w Nowoczerkasku, profesorem zwyczajnym mechaniki hutniczej.

W poczet profesorów zwyczajnych wszedł również inż. Jan Zarański. Mineralogię i petrografię powierzono drowi Zygmuntowi Rozenowi, w charakterze docenta na czas od 1 grudnia 1920 r. do 30 kwietnia 1921 r., a od 1 maja 1921 r. w charakterze zastępcy profesora. Docentem matematyki ubezpieczeniowej mianowało Ministerstwo WR. i OP. Mariana Langa, profesora szkoły handlowej w Krakowie.

Komitet Organizacyjny poczynił również starania o pozyskanie dla Akademii Górniczej inż. Henryka Czeczotta, profesora Instytutu Górniczego w Petersburgu. Z dniem 31 grudnia 1920 r. ustąpił ze stanowiska sekretarza Akademii — Stanisław Ruzamski. Na wniosek Kolegium Profesorów, Ministerstwo WR. i OP. mianowało sekretarzem Akademii i zarazem dyrektorem Kancelarii literata Ferdynanda Goetla.

Dnia 27 lutego 1921 r. odbyło się uroczyste zebranie w Akademii Góniczej w sprawie Górnego Śląska. Kolegium Profesorów wydało odezwę do polskiej młodzieży górnośląskiej, zachęcając ją do zapisu do Akademii Górniczej, której znaczenie przez odzyskanie Górnego Śląska szczególnie wzrosło. Wielkie podniecenie wśród naszej młodzieży wywołał wybuch powstania górnośląskiego, będącego spontanicznym odruchem przeciwko Niemcom. Dnia 20 marca 1921 r. odbył się plebiscyt na Górnym Śląsku, który mimo szalonego terroru niemieckiego wykazał, że górnik i chłop gornośląski są Polakami. O wszyskich tych wielkich chwilach dziejowych pamiętała Akademia i na odbytych wiecach profesorowie i studenci dali wyraz swym patrotycznym uczuciom.

(ciąg dalszy nastąpi)